



**ROLAND  
HEACH**

**WIĘZIENNA RZECZYWISTOŚĆ**

**Teutońskie Wydawnictwo Powszechne**

# **WIĘZIENNA RZECZYWISTOŚĆ**

**Teutońskie Wydawnictwo Powszechne**

*Książkę tę dedykuje mojemu światłu w ciemności  
Oraz wszystkim więźniom politycznym Sarmacji*





## Czarcia machina ruszyła

**T**ej nocy nie spałem. Ubrany w nieco przetarty i sfatygowany garnitur siedziałem samotnie w fotelu, w moim złotogrodzkim mieszkaniu, wpatrując się beznamiętnie w gwiazdy tańczące na nocnym niebie. W powietrzu unosił się dym przypalonego cygara. Dostałem je w prezencie, od Markusa Arpeda, kiedy jeszcze odwiedzałem go w Almerze. Teraz jednak miało to miejsce rzadziej, by nie powiedzieć, że wcale. Baridas ostatni raz widziałem na oczy tego pamiętnego dnia, gdy wyprawiałem swój wieczór kawalerski. Cóż... żeby nie wyjawiać wszystkiego co miało tam miejsce, bo jak wiadomo, to co działo się w Ciudad de Bravo to zostawało w Ciudad de Bravo, powiem tylko, że była to jedna z ciekawszych nocy mojego życia i jedna z tych, których do końca nie pamiętam. Potem jednak zaangażowałem się w rzeczy, które sprawiły, że teraz, dzisiaj, kiedy dokoła nie było słychać nic, prócz syren alarmowych i dźwięków radiowozów, przeczesujących wszystkie uliczki miasta, siedziałem sam, cierpliwie czekając na nieuniknione.

Cygaro wypalało się w popielniczce. Zaciągnąłem się nim może raz czy dwa, tak by nieco wykaszleć się i podrażnić gardło, tak by nieco zastopować ciężki oddech i unormować własne emocje. To były dwa soczyste zaciągnięcia, dwa prawdziwie mocne sztachy,

które w swój nienaturalnie niezdrowy, nienaturalnie arogancki, a przez to i cudowny sposób sprawiły mi niekrytą radość i przyniosły niespodziewaną ulgę. Dużo myślałem tej nocy. Wszak samotność sprzyja rozmyślaniom. Człowiek oderwany od zgiełku codzienności zaczyna zastanawiać się nad sensem własnego życia. Ja rozpamiętywałem dawne wybory. Sądziacie zapewne, że czekając na nieuniknione, żałowałem czegoś? Nie. Nie żałowałem niczego, prócz tych wszystkich razów, kiedy zabrakło mi odwagi by przekroczyć przysłowiowy Rubikon. Decyzje, które podjąłem wydawały mi się zawsze trafne, choć nie zawsze logiczne. Ale czy człowiek może w życiu kierować się tylko logiką? Czy rozum jest jedynym zdatnym do podejmowania decyzji autonomicznie w ciele człowieka? Tej nocy dużo myślałem.

Bawiłem się pionkiem do gry w szachy. Obracałem nim w palcach lewej dłoni, prawą zaś podpierałem się o podłokietnik fotela. Nie byłoby w tym nic zaskakującego, gdyby nie fakt, że owy pionek pochodził z podarku jaki otrzymałem od żony, w dwa dni po naszym ślubie. Zastanawiałem się podówczas, czy list jaki nadałem do niej wczoraj, a jaki dojdzie do celu jutro, gdy prasa sarmacka będzie już rozszarpywać mnie na strzępy, pozwoli jej zrozumieć dlaczego musiałem zrobić to co zrobiłem. Zastanawiałem się czy zrozumie moje postępowanie. Zastanawiałem się, czy będzie w stanie pogodzić się z podjętą przeze mnie decyzją, decyzją trudną i niezaprzeczalnie dziwną. Byłem pewny, że tak, wszak byłem pewny, że znam ją na tyle dobrze, by pewne jej reakcje przewidywać z dokładnością, z jaką Helwetykowi Romańskiemu przychodziło krytykowanie projektów ustaw w gmachu Sejmu.

Tej nocy nie spałem. Ubrany w nieco przetarty i sfatygowany garnitur siedziałem samotnie w fotelu, w moim złotogrodzkim mieszkaniu, nasłuchując kroków na klatce schodowej, wyczekując tych, których należało się spodziewać. To zaskakujące z jak wielkim

spokojem przyszło mi zaaprobować własną porażkę, jak bardzo mnie to nie obeszło. A może było wręcz przeciwnie? Może strach jaki wówczas czułem był na tyle wielki, że nie pozwalał na nic innego jak beczynność? Może nie siedziałem w fotelu będąc dumnym, a będąc bezradnym? Tej nocy dużo myślałem. Myślałem intensywnie i burzliwie. Myśli moje snuły się po ciemnych zakamarkach umysłu rozświetlając go długimi niemi wniosków i refleksji, tak bardzo przypominając błyskawice prujące nocne niebo, zdobiące je tysiącem zygzaków w ciepły letni wieczór, gdy aura najbardziej sprzyjała powstawaniu grzmotów.

Będzie co ma być, mówiłem do siebie cicho szepcząc pod nosem wyrazy, będące nimi tylko z nazwy. Co i rusz popijałem kukulicę, ale nie w ilościach zatrważających. Chciałem być rumiany, rześki, chciałem mieć błyszczące oczy, gdy zjawią się oni. Liczyłem, że nie dam im podówczas satysfakcji, że nie pozwolę im się zaskoczyć w piernatach, bezbronny niczym nowo narodzone dziecko. Moim celem w tamtej chwili było zaskoczyć ich maksymalnie, zaskoczyć ich całkowicie. Byłem dumny z siebie. Byłem też już nieco wstawiony.

W ciągu dnia odbyłem kilka rozmów telefonicznych. Głównie z bratem, który wyczuwał, że coś jest nie tak. Najbardziej zapadła mi w pamięć jedna z nich. Bardzo osobista, bardzo trudna. Rozmowa z gatunku tych koniecznych, tych bez których nie ma później ciekawych opowieści przy wigilijnym stole, albo letnim ognisku.

– Nie masz zamiaru umierać, co? – wtrącił Mirosław, bardzo zaskoczony tonem i stylem mojego mówienia. – Gadasz tak jakbyś zaraz miał powiedzieć: „Wynoszę się do Scholandii, gdzie powoli i bez pośpiechu dokonam żywota”. Nie wiem co siedzi w tej twojej głowce, ale nie próbuj takich sztuczek. My z Siergiuszem nie boimy się takich wypraw, nie boimy się scholandzkiej ziemi i jeśli trzeba...

- Nie trzeba. Nie wybieram się do Scholandii. Nie wybieram się nigdzie. Chce tylko mieć pewność, że zaopiekujesz się moją rodziną, gdyby okazało się, że ja już nie mogę tego robić. Daj słowo, wiem, że to duża prośba, ale bardzo mi potrzebna. Nie dociekaj dlaczego.

- Przecież wiesz, że nie będzie z tym żadnego problemu. Mam trochę włości w Sarmacji, a i w Dreamlandzie dorobiłem się niezłego majątku. Twoja żona i córki nie będą miały źle. Dopilnuję tego, choć wiedz, że nie sądzę bym kiedykolwiek musiał dotrzymać tej obietnicy. Ale obiecuję ci, bracie, że zaopiekuję się nimi należycie, jeśli ty nie będziesz mógł tego zrobić sam.

- Dziękuję - po tych słowach zapanowała głucha cisza, tak z jednej jak i z drugiej strony.

- Roland, odpowiesz mi na jedno pytanie? - głos mego brata zdał mi się podówczas inny, taki jakiś... nowy, całkiem niepodobny do tego jaki zwykłem słyszeć na co dzień, w czasie naszych długich rozmów o sprawach różnej wagi.

- Postaram się.

- Przez ostatnie dni wiele się dzieje w Sarmacji. Ludzie, których znałem wplątali się w różne dziwne interesy i machlojstwa, w różne dziwne sytuacje, przez które teraz pokutują w więzieniach. Śmieszy mnie postawa sądu, bo wiesz, sadzać do pierdła za byle co to sztuka dość prosta, ale uzasadnić to, to już zadanie niełatwe. Czy ty też jesteś w to zamieszany?

- Nie mogę ci tego powiedzieć. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie, bracie. Wspominaj czule nasze wypadki ze znajomymi do Ciudad de Bravo. Ucałuj ode mnie Siergiusza i trzymaj się na razie z dala od Grodziska, będzie tam nieciekawie niebawem. Teraz muszę już kończyć. Hej-ho!

- Ale?...

Nie słuchałem niczego do końca. Mirosław zaś słuchał zapewne głuchego sygnału przerwane połączenia. Zapewne zastanawiał się co miałem na myśli, co mnie tak odmieniło. Zapewne głowił się jak dociec prawdy. Zapewne próbował dowiedzieć się czegoś od Ivette, od Karoliny, od Markusa. Zapewne i oni się zaskoczyli. A przynajmniej bardzo chciałem by tak było. Bo gdzieś w głębi serca, po mimo tego, że tamtego dnia zrobiłem dosłownie wszystko by być samemu w mieszkaniu bardzo potrzebowałem bliskości bliskiej osoby. To był jednak luksus na jaki nie mogłem sobie pozwolić.

Tej nocy nie spałem. Ubrany w nieco przetarty i sfatygowany garnitur siedziałem samotnie w fotelu, w moim złotogrodzkim mieszkaniu. Było to mieszkanko dość małe, by nie rzec kawalerskie. Dwa pokoje, kuchnia i łazienka, to nie zbyt dużo. Przy czym słowo „kuchnia” byłoby zbyt wielkim określeniem, na wydzielony kwadracik z miejscem na lodówkę i mały kredensik, wypełniony porcelanowymi naczyniami. Ja siedziałem w dużym pokoju, który przerobiłem sobie na gabinetek. Mahoniowe biurko i skórzany fotel byli mi przyjaciółmi odkąd się tu wprowadziłem już ponad pół roku temu. Ach poleciał ten czas. A teraz wszystko miało się zmienić. Miałem to zostawić za sobą i iść w nowe miejsce, nie koniecznie z własnej woli. Szalałem dość mocno. Szalałem w duszy, niemo krzycząc i rozpaczając nad własną ułomnością. Odkładając pionek wziętem do ręki najnowszą gazetę, by ostatni raz rzucić okiem na tytuły artykułów. „Napaś na diuka”, „Kupostolczyzm”, „Lepkonomika stosowana” oraz „Wszystko złoto co się świeci...” to tylko niektóre, relacjonujące bieżące wydarzenia. Na wspomnienie o nich dziś na mej twarzy maluje się uśmiech drwiny. Tamtej nocy powodowały one we mnie wielki smutek i nostalgię. Odłożyłem gazetę i wstałem, prostując się i układając na nowo kancik spodni. Wziętem cygaro do ręki, a raczej resztki cygara, i podchodząc bliżej okna przeczesalem dłonią włosy. Potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Za oknem widać było wiele błysków niebieskich świateł. Słysząc było krzyk dzieci i płacz kobiet. Słysząc było łoskot wyważanych drzwi i wybijanych okien. A przynajmniej ja to słyszałem, uszami wyobraźni, jakby nastrajając się mentalnie. Tworzyłem w sobie obraz przyjazny, ale też i realny, obraz zaskakujący, ale też i przewidywalny, tworzyłem złudzenie spokoju i normalności w sytuacji jak najbardziej nienormalnej i nie rozumiałem dla mnie, a co dopiero dla reszty moich bliskich. Czekałem. Nie wiem jak można się przyzwyczaić do tego straszego stanu oczekiwania, szczególnie jeśli jest się tak niecierpliwą osobą jak ja. Potem miałem dowiedzieć się jak bardzo to prozaiczne, ale nie o tym teraz. Robiąc kółka z dymu patrzyłem na zmęczony dzień, śpiący słodko Złoty Gród. Patrzyłem na neony zdobiące co ważniejsze miejsca miasta, podziwiałem blask latarni, do złudzenia przypominający ognie pochodni, wpatrywałem się w psa, który włożył się przy śmietniku, poszukując zapewne czegoś do jedzenia. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem o mojej matce i o tym, że jeśli da los, ujrzę ją niebawem.

Tej nocy nie spałem. Ubrany w nieco przetarty i sfatygowany garnitur stałem samotnie przed oknem, w moim złotogrodzkim mieszkaniu, nasłuchując kroków na korytarzu. Tym razem usłyszałem coś więcej niż ciszę i wycie wiatru w dziurawym zadaszaniu ganka budynku. Usłyszałem coś na kształt bandy dzieciaków, która wróciła z boiska, jest głodna i pobudzona i lata wte i we wte czyniąc taki hałas, jaki czynią samoloty startujące z opóźnieniem (nie pytajcie co to znaczy). Podszedłem szybkim krokiem do komody na lewej ścianie. Założyłem na głowę kapelusz w iście gangsterskim wydaniu i przez chwilę trzymając w ręku fotografię zacnej czarnolesianki, zamysliłem się.

Jak każdy, kto miał do czynienia z dziećmi wiedziałem, że nie dają one myśleć, tak i ja nie miałem zbyt wiele cennych chwil na

rozbudzenie pięknych wspomnień o długich nocnych rozmowach przy herbacie i o wycieczkach konnych. Nie miałem na to czasu.

Moje dość przeciętne drzwi uległy sile barczystego mężczyzny w kominiarce na głowie. Runęły z wielkim hukiem na podłogę rysując klamką dość drogie panele. Do środka weszło czterech barczystych osiłków, co to się twierdzi, że są kolejnym ogniwem ewolucji człowieka, ze względu na brak szyi. Za nimi wszedł odziany w długi szary płaszcz jegomość, którego skądś już znałem. Szybkim ruchem ręki zakryłem zdjęcie i włożyłem je do kieszeni spodni.

– Niepotrzebnie pan fatygował swoje ramię, drzwi były otwarte. Troszkę nawet ich szkoda, ale... – spojrzenie pana w płaszczu skutecznie mnie zniechęciło do dalszego drwienia.

– Kawaler Roland Heach, legitymujący się paszportem AF181, zamieszkały w Złotym Grodzie?

– Zgadza się.

– W imieniu Jego Księżęcej Mości mamy polecenie aresztować kawalera oraz doprowadzić do sarmackiego aresztu, gdzie zaczekacie sobie na właściwą podróż. Odczytałbym wam prawa, ale nie złożyliście odpowiedniego wnioseczku, a i ustawa nie przewiduje nic podobnego, a ja nie lubię się przemęczać. Widzę, że gdzieś się kawaler wybierał?

– Nie, czekałem tylko na was.

– Czekał na nas. Widzicie go, jakiś się nam trafił awangardzista. Mnie to nie wzrusza. Pójdzie kawaler z nami. Niestety, ale będzie kawaler podróżował z pewnym wandejczykiem, którego ujęliśmy przed chwilą w budce z kebabami al-rajńskimi.

– Jakby zależało mi na wygodzie...

Oczy funkcjonariusza maszyny systemu zrobiły się nad wyraz roześmiane. Wyjąwszy zza pleców kajdanki dość nonszalancko

podszedł do mnie. Zachodząc z tyłu rechotał przy tym, jakby sprawiało mu to nie krytą satysfakcję. Zakładając mi pęta sarmackiej władzy na nadgarstki szarpną nieco mocniej w tył za marynarkę tak bym musiał odchylić się do tyłu. Jego twarz przysunęła się do mojego ucha.

- Radzę przywyknąć do ciasnoty. Ciasność jest bardzo pożądana w sarmackich więzieniach - roześmiał się przeraźliwie, po czym popchnął mnie mocno do przodu. - Zabrać go. Nie mam całego dnia, muszę jeszcze nanieść poprawki z błędmatu...

W milczeniu wyprowadzano mnie z mieszkania tak cennego dla mnie. W radiowozie siedziała już jakaś masywna postać. Ale pochylony do ziemi nie miałem jak rozpoznać, lub choćby przypuszczać kto to może być. Jegomość w płaszczu nucił pod nosem: „To nie ja byłem Ewą...”.

Gdy otworzyły się drzwi radiowozu, a moja twarz znalazła się w pozycji dogodnej do obserwacji otoczenia nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Zaskoczony i sparaliżowany jednocześnie strachem i zdumieniem. Poczulem jak moje ciało przeszywa dreszcz.

- Avril, ty skurwysynu, ja Ci tego nie daruję, chuj Ci w dupę cwelu! Trololololo! To jest napaś!

Tyle usłyszałem, po czym uderzono mnie w głowę tak, że straciłem przytomność. Pamiętam jeszcze tylko cichy śmiech drabów z symbolami prefektury na ramieniu i słowa: „Mamy komplet panie Levengothon, możemy jechać do bazy”. Tej nocy nie spałem długo...





## Oblicza sprawiedliwości

**K**ubeł zimnej wody rozlał się po moim ciele niczym morska fala uderzająca o bok klifu, burząc całkiem porządek świata, niebezpiecznie go podmywając i tworząc u jego stóp coś na kształt pienistej burzy, z wyglądu i zachowania przypominającej nordyjskie, śnieżnobiałe tarpany przeczesujące tundrę w poszukiwaniu przełęczki na cieplejsze łąki. Ciało moje wyprężyło się w drgawkach, ciarki pokryły skórę dokładniej niż pot, jaki do niedawna zraszał mnie całego, kiedy nieprzytomny leżałem w zamkniętym radiowozie na pełnym słońcu. Niewyobrażalne zimno otrzeźwiło mnie do tego stopnia, że nie mogłem złapać tchu. Ciężki oddech. Błądzące oczy. Ciemna sala. Błyski pojedynczych żarów. Swąd papierosów. Wilgoć. Cisza. Dezorientacja. Gdzie jestem? To pytanie nasunęło by się przecież każdemu, kto budzi się w miejscu całkiem mu obcym, całkiem innym, nieznanym, a i jakże złowieszczym. Ciemna sala. Błyski pojedynczych żarów. Swąd papierosów. Wilgoć. Cisza. Dezorientacja. Tylko tyle widziałem patrząc się chaotycznie dookoła, jak gdyby chcąc zmusić oczy do zobaczenia więcej niż można by zobaczyć w całkowitej ciemnicy. To tak, jakby ślepy bardzo chciał ujrzeć to co ma przed sobą i choćby nie wiadomo jak się starał i jak mocno wiedział, że mu się to nie uda, robiłby to i tak, choćby ze względu na to, że daje mu to nadzieję

tak bardzo potrzebną w tym dniu, w tej chwili, by zrozumieć dlaczego dzieje się to, co się dzieje. Ludzki rozum jest racjonalny, szuka odpowiedzi, a by je formułować potrzebuje informacji. Te nie zawsze są nam dawane, dlatego częstokroć stajemy się wścibscy, zachłanni i wredni, tylko po to by owej wiedzy sobie dostarczyć i jakoś przetrwać kolejne starcie z realiami samoświadomości.

Coś poruszyło się w cieniu. Coś zaczęło podchodzić do mnie. Słyszałem kroki. Ciężkie kroki rozbijające się o ściany pomieszczenia. Słyszałem pogłos walącej się góry. Już wiedziałem, że nie znajdę w tej sali zbyt wielu mebli. Podejrzywałem, że gdzieś mniej więcej po środku stoi jedynie biurko. Nagle krokom rytmicznie idącej postaci zawtórowały kolejne. Mistyczna dotąd symfonia grozy, pełna taktu, rytmu i niebywałej gracji zmieniła się teraz w coś niezwykle chaotycznego, coś tak zmieszanego ze sobą, że nie sposób było wywnioskować, czy przez pokój przemierzała jedna, dwie czy może więcej osób. Próbowiałem podnieść się z kolan. Chciałem wstać, by nie mogli na mnie spojrzeć z góry. Nie chciałem nadal dawać im satysfakcji, choć miałem świadomość, że skoro znalazłem się tu, gdzie jestem, nie ma możliwości nad nimi zwyciężyć. Ale któż z nas jest w stanie pogodzić się z beznadziejnością sytuacji w jakiej się znalazł? Czyż domeną człowieka nie jest walka do ostatniej kropli krwi? Czyż nie jest tak, że nadzieja, jaka pali się nam w sercu, choć momentami będąca jedynie wątlwym płomykiem, nie ogrzewa ludzkiego serca w chwilach próby i strachu, pchając je do przodu, w dzikim szaleństwie beznadziejnej walki o porażkę w wielkim stylu, w dumie i chwale zwyciężonego? Chciałem być niczym wielcy przegrani wodzowie Teutonii, którzy choć ponieśli klęskę, sprawili, że ma ojczyzna nadal istniała. Chciałem być męczennikiem za wolność, za ideał słodkiej równości, za wiarę w sprawiedliwość świata, choć jak się miałem dowiedzieć, bardzo zepsutą sprawiedliwość.

Nagle kroki zamarły. Przerażliwe skrzeczenie i jęczenie wypełniło salę w całości. To była pierwsza tortura jakiej zaznałem. Chciałem zasłonić uszy dłońmi, jednak kajdanki sprawiały, że było to niemożliwe. Upadłem na kolana ponownie, zrezygnowany, skrywając uszy między kolanami. Dało to tylko na pozór ulgę. Nóżki stalowego krzesła darły o goły beton, mieniając się małymi iskierkami i wielkim lamentem. A ja biłem pokłony nieznannej osobie. Upokorzony i zeszmacyony do granic możliwości upadłem na kolana zapewne przed gellończykiem. Cała ma duma, cały mój honor w tej jednej chwili zniknęły, rozwiały się niczym mgła rozpędzana na placu defiladowym w Gnosse-Wanda-Stadt, przed obchodami rocznicy powstania Mandragoratu Wandystanu. Rozwiała się jak mara, jak zjawą, będąca do dej pory jedynie ułudą. Czułem, że chcą mnie tym złamać. Zaciśnąłem więc pięści bardziej i podnosząc się ponownie z kolan zacząłem się śmiać. Śmiech mój przerwał oślepiający blask z lampy, stojącej przy biurku na ruchomym stelażu, tak by można było nią łatwo manipulować. Ktoś złapał mnie mocno za ramię i szybkim szarpnięciem podprowadził bliżej lampy, sadzając w dość niewygodnym stalowym krześle bez obić. Wiedziałem, że to nie było zwykłe krzesło, że jego rolą było męczyć szybciej, dawać poczucie niepewności, niewygody. Cały pokój miał dawać poczucie strachu, miał łamać psychikę kawałek po kawałku ścierając ją na proch. Siedziałem tak nadal się śmiejąc.

– Co was tak śmiesz, panie Heach? Radujecie się na myśl, że już niebawem zasilicie grono szuj i podłych gnid? Że staniecie się szmatą, zwyrodnialcem wyzbytym ludzkich odruchów? No może nie w dosłownym tego słowa znaczeniu, wszak aż tak bardzo nie zmienicie się po pobycie w więzieniu. Ale wierzcie mi, że my zrobimy wszystko, by Ci tam – ręka jego, gruba i obleśnie owłosiona wyprężyła się, wskazując palcem okno, jak dotąd całkiem przeze mnie nie zauważone, okratowane i dokładnie oklejone na wpół przezroczystą, czarną taśmą. – Oni będą was mieli za nędznego

szkodnika, za wrzód na zdrowym organizmie narodu. A nas to będzie bawiło i cieszyło. Oj będzie.

Wyszczerył swoje poźółkłe kły w czymś na kształt uśmiechu, po czym zarżał jak koń. Wyjął kartkę maszynopisu, druku nieskładnych czcionek, ułożonych w rozmazany i lekko nieczytelny tekst. Nasunął na nos okulary i patrząc na mnie dość złowieszczo podjął.

- Ja Ronald Heach, przyznaję się do tego, że obraziłem wszystkich razem i każdego z osobna, moim wierszem „Christosza”, że był to przejaw antyrojalistycznej postawy wynikającej z mojego pochodzenia, oraz z utajonej wadeizacji, przeprowadzonej przez niebezpieczne i szkodliwe w oczach całego społeczeństwa bojówki propagandy wandejskiej. Przyznaję się tym samym do wystąpienia przeciwko książęcemu prawu i obyczajności, do złamania zasad kultury i współżycia w społeczeństwie, do zaniedbania swojego obowiązku posłuszeństwa koronie i do zdrady jej majestatu. Przyznaję się do opluwania... bleblu, bleblu... no i tam macie jeszcze kilka zarzutów o jakie was oskarżamy. Podpiszcie, MAPcio klepnie wam odpowiedni wyroczek i będziecie mogli bezpiecznie odejść.

- A jeśli nie podpiszę? – starałem się to powiedzieć najpewniej jak umiałem. Na twarzy przesłuchującego wymalował się grymas niezadowolenia.

- Wtedy będziemy was bić. Wierzcie mi lub nie, ale robimy w tym fachu nie od dziś i co jak co, ale porządnie obić mordę takiemu szaraczkowi jak wy nie zrobi nam większych problemów. A to, żeście Teuton, tylko podhajcuje naszych gellońskich katów – śmiech jaki rozbudzał się w nim od jakiegoś czasu teraz dopiero wydobył się z niego niczym lawa z wulkanu w czasie erupcji. Rechot jaki produkowała jego twarz dokładnie i całkowicie wypełnił salę.

Stojący obok mnie, skryty w cieniu, osobnik uderzył z całej siły w twarz. Głowa wywinęła mi się w drugą stronę. Oczy przez chwilę zamaryły w jednym punkcie. To trwało na pewno tylko kilka sekund, ale mi zdawało się wiecznością. Wpatrywałem się w dziwne żłobienia na blacie biurka. Mrużyłem oczy, by poprawić ostrość widzenia i dałbym sobie rękę uciąć, że chyba też pochyliłem się nieznacznie do przodu, by odczytać napis ubrudzony starą skrzepliną czarnej już krwi. Napis głosił: „Kakulski tu był”. Nagle wielka łapa chwyciła mnie za włosy i szarpnęła do tyłu z całą mocą, tak, że wyprężyłem się na krzesło. Co starsi z was na pewno pamiętają tych nauczycieli ze szkół, którzy potrafili złapać za włoski za uszami, czy na karku i pociągnąć do góry. W takich sytuacjach każdy z nas stawał się baletnicą, stojącą na czubkach palców szukając metod by jak najbardziej wznieść się do góry. Ja w tym momencie chciałem jak najbardziej odchylić się do tyłu.

– Jak widzicie warto byłoby jednak podpisać – ozwał się osobnik po drugiej stronie stołu. Teraz dopiero zauważyłem, że oczy jego mają pionowe źrenice, a tęczęwki świecą w ciemności. – Nie chcecie chyba byśmy was obili na sino, co?

– Nie podpiszę – starałem się zachować resztki honoru.

– Wasza wola.

Obleśnie owłosiona dłoń skinęła na draba stojącego obok. Co by się nie rozpisywać: jego pięści biły jak z automatu, to w żebra, to w brzuch, to w twarz, to w ramiona. Ciosami prostymi, sierpowymi, hakami z góry i z dołu. Z otwartej dłoni i z zamkniętej, łokciem, a kiedy stoczyłem się z krzesła na ziemię, całkiem już poraniony, z rozciętym łukiem brwiowym, doszło do tego kopanie po plecach i ogólnie pojętym brzuchu. Dostałem też kilka mocnych uderzeń w krok. Czułem, że niebawem stracę przytomność po raz kolejny. Bardzo chciałem stracić przytomność. Ból był potworny. Nie

chciałem go czuć. Wolałem odpłynąć i nie mieć świadomości co się ze mną dzieje, ani jak to się ze mną dzieje. Wolałem pozostać w błogostanie obojętności na cały świat zewnętrzny. Chciałem nie czuć już nic. Lecz tej rozkoszy nie zaznałem. Widać goryl, który mnie katował, rzeczywiście znał się na swoim rzemiośle. Ręce jego tańczyły niczym palce pianisty, muskające klawisze tego delikatnego instrumentu w najczystszej wirtuozerii. Delikatnie, tak by muzyka grała, ale i nie za mocno, by zbyt szybko nie zużyć pianina. Ze mną było podobnie. Bity byłem tak, by nie stracić przytomności. By wszystko pamiętać. Siedzący za stołem funkcjonariusz prefektury dość szyderczo śmiał się pod nosem. W końcu uniósł rękę w górę. Gradobicie ucichło.

- I na co było wam stawianie oporu? - zapytał prześmiewczo, bazgrząc coś na wcześniej odczytanym maszynopisie. - Poooodpisaaaaano, Roland Heach.

Poczułem do niego szczerą pogardę i gdyby nie fakt, że nie miałem siły sam wstać z ziemi, zapewne rzuciłbym się na niego próbując chwycić zębami pierwszą wystającą część twarzy i odgryźć ją. Gniew jaki czułem wówczas był dla mnie czymś niezwykle nowym. Tak czystej złości i wzdargy nie czułem do nikogo wcześniej. Nawet do tego opryszka, który mnie bił, wszak był on tylko narzędziem. Ludzie zbyt często zrzucają winę na narzędzia, ale przecież o wiele ważniejsze jest kto i jak tymi narzędziami zarządza. Czy usprawiedliwiam go teraz? Nie, przecież sprawiało mu przyjemność poniżanie i bicie aresztantów. Czerpał z tego satysfakcję, ale nie sądzę by bez wyraźnego nakazu sam rwał się do męczenia tylko z pozoru winnych. O wiele gorszy wydał mi się oficer zza stołu. On bowiem cieszył się mogąc kogoś „załatwić” tak jak „załatwił” mnie. Czerpał satysfakcję z tego, że na jego oczach ktoś, zdawać by się mogło warty podziwu, przez swoją wytrwałość, gdzieś w głębi duszy pragnie jednego, mocnego ciosu, który

wszystko zakończy. Zwyrrodnienie i zepsucie. Rzygać mi się chciało, ale to po części też wina wstrząśniętej głowy. Leżałem skulony na ziemi. Ciężki oddech. Błądzące oczy. Ciemna sala. Błyski pojedynczych żarów. Swąd papierosów. Wilgoć. Cisza. Dezorientacja.

- Witamy w sarmackim więzieniu, panie Heach – rzucił na odchodne oficer przesłuchujący zginając „moje” zeznania w pół.

Drab i kotooki wyszli z sali. Pozostałem sam, bezbronny, bez siły do życia, bez duszy. Stałem się workiem kości i mięsa, całkiem pogruchotanym, z organami wewnętrznymi rozrzuconymi po całej jamie brzusznej tak, że każdy jeden lekarz złapał by się za głowę. Najbardziej jednak bolała złamana godność. Upokorzenie. Niskość. Najbardziej bolał splamiony honor. Ale obiecałem sobie, że i tym razem nie dam im żadnej satysfakcji. Obiecałem sobie siłę. Niebawem siłę tą dzieliłem z jednym z moich dobrych przyjaciół. Myślę, że późniejsze wydarzenia bardzo mnie odmieniły. Myślę teraz, z perspektywy czasu, że byłem wdzięczny za ten wyrok. Za to osadzenie. Dziwne? Jeśli dotrwamy wspólnie do końca tej powieści, zrozumiecie, że wcale nie takie dziwne.

Ciężki oddech. Błądzące oczy. Ciemna sala. Swąd papierosów. Krew. Łzy. Wilgoć. Cisza. Dezorientacja. Ból. Omdlenie i nagły błogostan.

\*\*\*

Kubel zimnej wody rozlał się po moim ciele niczym morska fala uderzająca o bok klifu, burząc całkiem porządek świata, niebezpiecznie go podmywając i tworząc u jego stóp coś na kształt pienistej burzy, z wyglądu i zachowania przypominającej

nordyjskie, śnieżnobiałe tarpany przeczesujące tundrę w poszukiwaniu przełęczy na cieplejsze łąki. Ciało moje wyprężyło się w drgawkach, ciarki pokryły skórę dokładniej niż krew, jaka do niedawna zraszał mnie całego, kiedy nieprzytomny leżałem w sali przesłuchań w pełnej ciemności. Niewyobrażalne zimno otrzeźwiło mnie do tego stopnia, że nie mogłem złapać tchu.

Znajdowałem się w ciasnej sali, odgradzonej od korytarza masywną kratą wykonaną z pordzewiałych już, półtora calowych prętów, złączonych ze sobą długimi pasami płaskownika. Na lewej ścianie umieszczone były stalowe zawiasy a na nich całościowe, jednolite, masywne, również stalowe drzwi pospinate nitami, dodatkowo zbrojone poprzecznymi prętami, z zasuwą na wizjer i klapą dolną na podawanie posiłków, przy czym słowo posiłek byłoby chyba nieadekwatne do tej brei jaką nam podawali. W tylnej ścianie było małe okienko również okratowane dokładnie i masywnie. Okno to otwierało się i zamykało automatycznie zależnie od tego czy padał deszcz, czy świeciło słońce. Zazwyczaj było ono jednak rozpostarte, choć kończył się wrzesień i noce stawały się na prawdę zimne.

Między przednią kratą, a masywną, chropowatą ścianą tylną rozciągała się szara, betonowa posadzka, która przecierała się pod wpływem kroków, chłodu i wilgoci. Zdobiły ją liczne rysy i pęknięcia jak i również ciemniejsze plamy, zapewne powstałe od nasączonej w luźny beton krwi. Wszak nie każdy więzień w celi znajduje akceptację pozostałych. Niektórym pisane jest stracić kilka litrów zawartości żył i kilka zębów, choćby dla uciechy pozostałych osadzonych. Na prawej ścianie wisały dwie prycze. Na lewej ścianie stał mały stoliczek, toaleta nie pierwszej świeżości, oraz drobna kozetka dla trzeciej osoby. Całość nie miała większych wymiarów jak trzy metry na trzy metry. Najbardziej jednak

denerwowała mnie mrugająca jarzeniówka, paląca się na suficie nieprzerwanie od 6.00 rano do 22.00 wieczór.

– Wstaliście towarzyszu Heach? – zapytał głos z góry.

– Aaa..r...gh... – tylko tyle zdołałem wycharczeć przez opuchnięte wargi.

– Nie męczcie się towarzyszu Heach. Nie warto. Widzę, że mocno was poobijali. Przynieśli was tu jak trupa, lub, jakby tu nie przymierzając, mnie kiedy trafiłem tu pierwszy raz. Wiecie, tak teraz myślę, że każdy kto trafia tu po raz kolejny podpisuje te ich durne papiery od ręki. Bo wiercie mi, lub nie, tu nie jest tak źle jak tam.

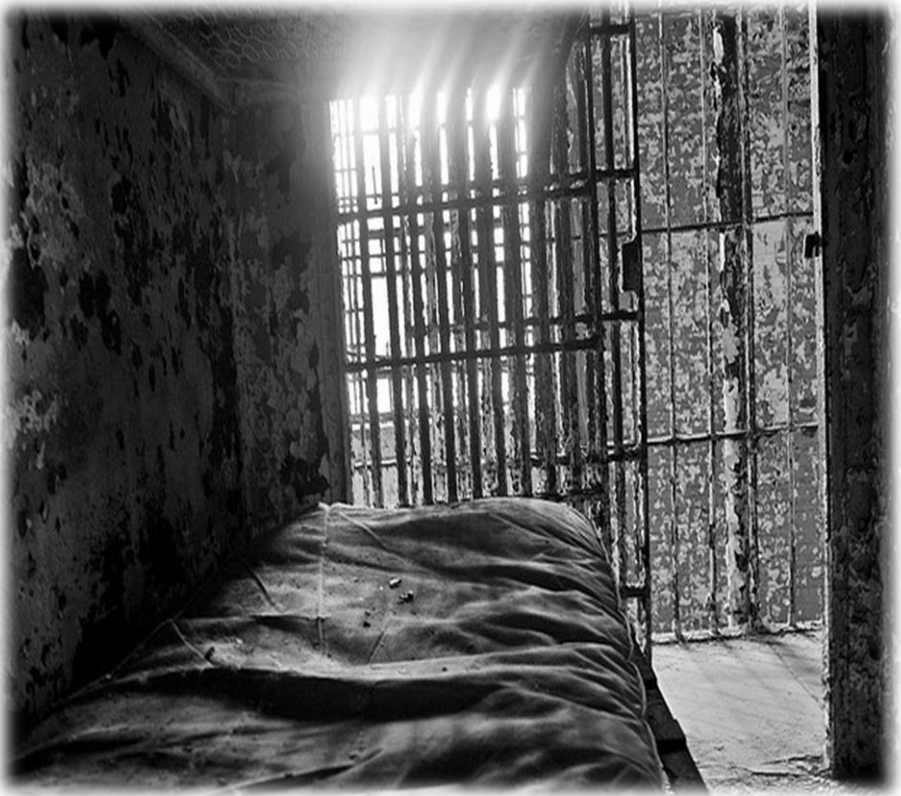
Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem. Dyszałem tylko i sapałem, obolały i zmarnowany. Oczy ślepo patrzyły się w dno pryczy wiszącej nade mną. Na środku, tuż nad oczami znowu ujrzałem ten zaskakujący napis: „Kakulski tu był”.

– Śpijcie towarzyszu Heach. Jutro czeka was dzień pierwszych razów. To będzie dla was nowe odkrycie. Nowe doświadczenie. Jeśli nie będziecie wyglądać na ofiarę, może nawet uda się wam zyskać szacunek. Teraz pełno tu ludzi siedzących za to co ja i towarzysz. Bo towarzysz też siedzi tutaj w związku z aferą Kupy Stolca?

– Yhhhmyy... – wydusiłem z siebie. – Kimmm...

– Kim jestem? Towarzysz wybaczy zapomniałem, żeście mnie nie widzieli jeszcze, bo i jak. No no. Oczy bardzo zapuchnięte macie, a i jakieś przekrwione. Katiuszyn Rewoluty Lepki we własnej, sklonowanej osobie. Wiecie, muszę przyznać, że cieszę się, że to właśnie z towarzyszem przyjdzie mi spędzić ten tydzień. Proszę sobie nie schlebiać. Z towarzyszem po prostu jeszcze nie miałem okazji pokutować za wolność.

Nie wiem czy mówione było coś więcej. Być może tak. Towarzysz Lepki stawał się bardzo rozmowny w celi. Poza celą bardziej skupiał się na obserwacji. Ale to zauważyłem dopiero potem. W tamtym momencie usnąłem. Śniłem dość długo, a jedyne co pamiętam na końcu tamtego dnia to, że bardzo mocno ścisnąłem zdjęcie zacnej niewiasty z Czarnolasu, a z kącików oczu sączyły mi się małe potoki łez. Spałem długo...





## Rozmowy o świcie

**M**igająca na suficie jarzeniówka błyskała tysiącem światła i odcieni. Impulsywne i długie serie promyków przemierzały salę dogłębnie, szukając rozpaczliwie miejsc, gdzie jeszcze nie udało im się upaść. Te nieliczne punkty cienia jakie były dookoła rozsiane po całym pomieszczeniu stały się teraz głównym celem exodusu wszelkiego rodzaju robactwa. Pielgrzymki mrówek i innych insektów maszerowały długimi korowodami wzdłuż pęknięć posadzki. Mięśnie nadal mnie bolały, ciało miałem opuchnięte, a oczy rozmarzone i przekrwione. Widziałem niewiele, ale widziałem. Mówić też już mogłem, ale nie była to jeszcze pełna swoboda. Kiedy się obudziłem i usiłowałem przekręcić na bok towarzysz Lepki leżał siedział za stolikiem i pukając palcem w blat spoglądał daleko przez okratowane okno. Kilka dni potem miałem się dowiedzieć, że w więzieniu każdy ma swoją ksywkę, swój pseudonim, jakim się do niego zwracają, a jaki nadawany bywa przez tutejszego guru. Towarzysz Lepki zwany był w grypsie Psorem. Nie wiem czy to przez skłonności do długich debat o człowieczeństwie i postawach w nim panujących, czy przez słownictwo jakiego używał. Być może wydał się tutejszym osadzonym mądrym człowiekiem. Jego spojrzenie było wesołe, jakby wspominał co zrobił, jak gdyby wracał do przyczyny tego, że

dziś siedzi na tym drewnianym taborecie, wytartym i oznaczonym symbolem jakości „Kakulski tu był”. Nie frapował go żal, a przynajmniej nie dawał tego po sobie poznać. Zdawało mi się, że rozpiera go duma. Kiedy zauważył, że już nie śpię i patrzę się na niego, na jego twarzy wymalował się szeroki uśmiech. „Wypierdalać towarzyszu Heach” powiedział lekko i rześko. Nie byłem w stanie odpowiedzieć nic. A może po prostu nie chciałem? Teraz z perspektywy czasu mam co do tego poważne wątpliwości.

Migająca na suficie jarzeniówka błyskała tysiącem świateł i odcieni. Impulsywne i długie serie promyków przemierzały salę dogłębnie, szukając rozpaczliwie miejsc, gdzie jeszcze nie udało im się upaść. Całą salę wypełnił przeraźliwy gong. Po stronie korytarza zapaliło się czerwone światełko, zaś zamki drzwi – wydało mi się, że uległy rozluźnieniu. Nagle w celach zapanowało żywe poruszenie. Bluzgi narzekań mieszały się z cichymi charchami spluwania, złorzeczenia światu i wszystkim jego aspektem. Słowem zaczęły się poranne „kurwy”. Na korytarzu również zrobiło się głośniejsze. Słychać było szczekanie psów i stukot ciężkich butów. Domyśliłem się, że był to stukot kroków strażników. Potem dowiedziałem się, że na strażników wołać należy „wały”.

Wały chodziły zazwyczaj grupkami po trzech. Wał najwyższy rangą prowadził na smyczy wilczura. Zawsze prowadzono tu wilczury, nie wiem skąd ich tyle wzięli, ale wynikało to chyba z tego, że najbliżej im było do wilków, były najdziksze i nieokiełznane, a przez to, w pościgach za uciekinierami, niezwykle skuteczne. Pozostali dwaj strażnicy łazili zwykle naprzemiennie z gumowymi pałkami, lub też karabinami. Częściej jednak z orężem białym, wszak dawało ono o wiele więcej radości niż zwykłe strzelanie do więźniów. Wały miały w zwyczaju przechadzać się na nocnej zmianie wzdłuż cel i obijając o kraty budzić więźniów. Potrafiły też urządzać pobudki przed wschodem słońca, chyba tylko

dlatego, że nudziło im się bardzo. Nie muszę chyba wspominać, że więźniowie „kochali” strażników nad życie...

Migająca na suficie jarzeniówka błyskała tysiącem świateł i odcieni. Impulsywne i długie serie promyków przemierzały salę dogłębnie, szukając rozpaczliwie miejsc, gdzie jeszcze nie udało im się upaść. Ja zaś usiłowałem podnieść się z łóżka. Możecie domyślić się jak komiczne, lub tragiczne to musiało być, jak straszne. Myślę, że w tamtej chwili przypominałem żółwia przewróconego na plecy, z tą jedną różnicą, że żółw ma swoje sposoby by wrócić do właściwej pozycji, a ja... a ja nie. Ja byłem bezradny wobec swojego ciała. W tamtym czasie długimi bezsennymi nocami rozmyślałem na tym czym jest bezradność. Często dochodziłem do wniosku, że chyba nie ma rzeczy gorszej dla człowieka jak poczucie i świadomość, że nie można już nic zrobić i nic nie zależy od nas. To zniewala myśli i płacze uczucia, wyciska łyzy, które najpierw drobnymi stróżkami, potem jednak coraz to bardziej rwącymi potokami spływają po policzkach w znaku desperacji i popychają nas do rzeczy nie zawsze słusznych. Z najgorszych zaś rodzajów bezradności wyróżniłem jeden szczególny – bezradność wobec ludzkiego życia.

Psor, widząc, że nic nie będzie z moich prób rozpaczliwego podniesienia się, podszedł do mnie, chwycił mocno za ramie, drugą ręką przepasując w tułowiu i łapiąc pod pachą, poderwał mnie znaczącym ruchem w górę, sadzając na łóżku. Coś w plecach jakby mi pękło, coś w brzuchu jakby się przelewało, głowa nagle stała się cięższa niż przypuszczałem. Niemniej siedziałem teraz na łóżku i czułem, że postawić pierwsze kroki będzie już łatwiej. Nie myliłem się jednak z równowagą było gorzej, ale narzekać też nie mogę bo dostałem od strażników kulę do podpierania. Jedną, krzywą, zbyt krótką kulę, która bardziej mi wadziła niż pomagała. Lepki wyraźnie zaskoczył się, gdy jego gest dobrej woli skwitowałem

uśmiechem. Jakby nie spodziewał się wyrazów wdzięczności za pomoc.

Nim zdążyłem stanąć wzdłuż białej, kredowej linii odrysowanej na podłodze, na korytarzu przy każdej celi trwał już wał. Na głównym holu czekali zaś oficerowie z psami. Nieco grubawy mężczyzna w garniturze, co by nie powiedzieć, bardzo eleganckim i wyglądającym mi na baridajską myśl włókienniczą, pojawił się mniej więcej na środku pomieszczenia.

- Do tych, co są tu nowi, a w ostatnim czasie mamy was tu od cholery, co mnie martwi, bo przez takich wymoczków jak wy, ja nie mogę w spokoju pooglądać mojego ulubionego serialu, zagryzając czekoladą i popijając burbon. Wstydźcie się, tak torturować człowieka w moim wieku. Ale spokojnie. Jesteśmy tu przecież wszyscy dlatego, że nam kazano. Wam kazano tutaj zamieszkać, mnie kazano o was względnie dbać. Moje dbanie jest przymusem. Jeśli o mnie chodzi, to takie wywłoki jak wy same powinny o siebie dbać. Mam milion lepszych pomysłów na to co można by robić za pieniądze jakie wydaję chociażby na te wasze... jedzenie. Zepsuł mi się ostatnio samochód, kupiłbym sobie coś nowego... spodziewajcie się, że niebawem obiady będą skromniejsze.

- Spierdalaj - wrzasnął jakoś bardzo znajomy mi głos. Więźniowie wybuchnęli śmiechem.

Staliśmy tak na baczność, kiedy wózek z jedzeniem przemierzał chodnik (tak w grypsie określano dziedziniec wypełniający blok D. Spokojnie niebawem powiem wam co to oznacza. Przed wózkiem szła najpierw inspekcja. Każdego dnia po pobudce każda cela była sprawdzana przez inspektorów. Jeśli coś było nie tak, nie dostawało się posiłku. Inspektorzy nie wchodzili zazwyczaj do cel. Patrzyli jedynie pobieżnie czy wszystko na oko się zgadza i szli dalej. Szczerze mówiąc jak wszyscy tutaj, tak i oni olewali całkowicie

swoje obowiązki. Nam to nie przeszkadzało nic a nic. Dzisiaj jednak miałem okazję dowiedzieć się też, że owi sprawdzacze więziennego porządku lubią też się pośmiać z więźniów.

– Ty, patrz, Christosza znowu kogoś popieścił za mocno.

– Jak na moje oko, to za słabo. Zobacz, na nogach się trzyma. W ogóle powiedz ty mi co to za dewiacja by teutończyka i wandejczyka sadzać do jednej celi? Od kiedy to przepuszczamy takie okazje?

– Co ty pieprzysz Władziu, jakie okazje?

– No, bo jeden drugiego prędzej czy później ciepnie, można by zorganizować zakłady, nieco ich podpiec, wiesz, podwędzić.

– Tobie tylko szmal w głowie. Liberty i liberty. A jakby tak obu ciepnać? Jedna sala mniej do obchodu.

Zarechotali przeraźliwie, rzucili suche „spierdalamy” i poszli. Wózkowa szybko wystawiła dwie tacki „jajecznicy” na wierz wózka i podjeżdżając do nas uśmiechnęła się serdecznie. Lepki odwzajemnił ten uśmiech. Podszedł do drzwi i odebrał nasze śniadania, stawiając je na stole. Powoli i ociężali, stawiając nogę za nogą podszedłem do taboretu, jęcząc cicho usiadłem i zacząłem gmerać w tym czymś co jajecznicą na pewno nie było. Trudno określić co to było, ale w smaku przypominało gile z nosa, co to je małe dzieci tak ochoczo zjadają, bawiąc się w górników. Psor rozejrzał się do koła rozdwoił swoją tackę i wyjął z pomiędzy połówek jakąś malutką, złożoną na cztery karteczkę. Rozwinął ją, tak by cały czas siedzieć tyłem do korytarza. Zrobił to jednak tak, bym i ja widział co jest tam napisane. Przyznam szczerze, że ktoś pisał niemiłosiernie paskudnie, ale ja pisałem jeszcze gorzej, podobnie jak cała moja rodzina, dlatego też nie miałem problemu z odszyfrowaniem znaków.

*W sraczu mamy kilku nowych łebków. Ciem nie było dziś na kwadrancie. Radziecki znowu sra z Gauem. Łajno z tego będzie, nawijam tobie. Dzisiaj na spacerniku Pindę mają wziąć na fleki. Sam zalukasz. Flisacy byli. Łąki umajone. Jest do ciebie rakietka z szamunkiem. Zapodasz co nieco, co nie? Będzie rozkminka, tam co wiesz. Buziole w siusiole. /E.*

Migająca na suficie jarzeniówka błyskała tysiącem światel i odcieni. Impulsywne i długie serie promyków przemierzały salę dogłębnie, szukając rozpaczliwie miejsc, gdzie jeszcze nie udało im się upaść. Ja natomiast z trudem mogłem przetykać kolejne kęsy tego żółtego, cholernie słonego, dziadostwa. Oczy moje wybałuszały się, chcąc się upewnić, czy na pewno wszystko dobrze zrozumiałem. Wydawało mi się, że znaki odczytałem dobrze. Mimo to nie rozumiałem z tego nic a nic. Odłożyłem łyżkę na bok, odsuwając dłonią talerzyk.

– Jedzcie. Nic lepszego nie dostaniecie – skomentował to Lepki, pochłaniając podany posiłek z zawrotną wręcz szybkością. – Jak myślicie, że tutaj będziecie mogli strzelać fochy, podobne do tych jakie miewa wasza matka, to się mylicie. Tutaj jest sracz, a nie obóz integracyjny dla nowych mieszkańców Grodziska. Jak pokażecie, że jesteście miękcy jak flaki z olejem, to szybko się przekonacie co to znaczy robić za flaka.

– Co dostałeś? – zapytałem nie kryjąc, że nadal sprawia mi to ból.

– To? – skiną głową na karteczkę. – To poczta. Kiedy zaczniecie spędzać tu tyle czasu co my, stanie się to dla was oczywiste, że każdego dnia otrzymujecie pocztę i ją odsyłacie. Takie tu panują zasady. Spaceriak nie jest od ustalania terminów, tylko od rozkminiania. Radzę wam szybko nauczyć się bajery.

Jak się potem okazało, bajerą nazywano tutaj tę słynną mowę więzienną. Tajny, umowny kod, który znany był tylko co dłużej osadzonym więźniom, tak by żaden wał nie był w stanie zrozumieć o co chodzi w tekście poczty. Miałem to szczęście, że szybko zaskarbiłem sobie zaufanie towarzysza Lepkiego i zdradził mi co nieco na temat tej tajemnej mowy. Do dzisiaj mam pewne dewiacje w tym kierunku i czasami w normalne rozmowy wplątam co nieco słownictwa więziennego. Choć jakby mniej. Czas jednak robi swoje. Człowiek zapomina. Ale tego zapomnieć nie sposób... tak mi się wydawało.

– Co muszę wiedzieć jeszcze?

– Punkt 6.00 wyje gong na pobudkę. Do 6.30 trwa obchód cel. Gnidy łążą i obrażają więźniów dla własnej satysfakcji. To czas poczty. Wózkowe dowożą nam tacki z informacjami od innych więźniów. Mamy z nimi sztamę, wiesz co to znaczy, prawda? – pokiwałem głową na znak, że tak. – Dobrze. Od 6.30 do 7.30 prowadzą nas pod prysznicę. Nie bądźcie zaskoczeni tym, że poleci wam tylko zimna i nieco rdzawa woda, więzienie jest podłączone do wodociągów z Grodziska i czasami płynie tutaj woda, pod jaką lepiej nie wchodzić. Pod prysznicami uważajcie. Więźniowie z Baridasu nazbyt często próbują ujarzmić nowych więźniów.

Musiałem zrobić bardzo głupią minę, bo Psor roześmiał się mocno, ale krótko. Popatrzył na mnie wyrazem oczu, mówiącym: nie żartuję teraz nic, a nic. Zamyślił się, jakby porządkując w głowie myśli. Ja zaś obiecałem sobie stać zawsze tyłem do ściany, będąc pod prysznicami i zawsze niemalże przy samej ścianie, tak dla bezpieczeństwa. Lepki, beznamiętnie patrząc w okno, wstał i podszedł do niego.

- Do 9.00 jest sprzątanie cel. Ścielenie łóżek, pucowanie kibli, krat, ścian i Wanda jeden wie czego jeszcze. Potem od 9.00 do 12.00 jest spaceriak. Niezależnie od pogody wypędzają nas na świeże powietrze byś my mogli się poruszać. Spaceriak jest jak dżungla. Sam zobaczysz. Tam musisz wiedzieć gdzie iść i jak iść by nie wpaść w gniazdo szerszeni. Pokażę wam jak chodzić, o ile będziecie mogli chodzić. Radzę omijać tak zwanych zamawiaków.

- Zamawiaków? - nie kryłem zaskoczenia tym określeniem.

- Tak. To ci heretycy, co proszą sądy i prefektów o wsadzenie do więzienia, kiedy nie mogą się powstrzymać od wejść na strony Sarmacji, mimo, że mają realne urlopy czy też obowiązki. Na czele zamawiaków stoi Kakulski. Zresztą sami wiecie - kiwnąłem głową, że wiem. - Po 12.00 zabierają nas na stołówkę, na obiad. Na stołówce najczęściej dochodzi do mordobicia. Wiele problemów rozwiązuje się tu niestety przemocą. Grodziskie więzienie strasznie deprawuje porządnych obywateli. A trzeba wam wiedzieć, że większość siedzi tu...

- Za niewinność? - wtrąciłem.

- Za wolność. Obecnie siedzi tutaj co najmniej 8 osób w związku z aferą Kupy Stolca. Wy też sracie w związku z tą aferą. Bardzo wielu więźniów tutaj to skazańcy polityczni. Mam wrażenie, że niebawem zawieszą nam w celach mini portreciki Mandragora Pupki, byśmy czuli się jak w domu. Wyjdziecie na spaceriak zobaczycie, cały Wandystan tu jest.

- PRANIE! - wydarł się głos z głębi korytarza.

Migająca na suficie jarzeniówka błyskała tysiącem światła i odcieni. Impulsywne i długie serie promyków przemierzały salę dogłębnie, szukając rozpaczliwie miejsc, gdzie jeszcze nie udało im się upaść. Towarzysz Lepki uśmiechnął się. Podeszedł do swojej pryczy, wyjął spod poduszki zwiniętą na cztery karteczkę, wsadził ją

w rozdwojonej tackę i mocnym uderzeniem dłoni ścisną ją ponownie w całość. Jeszcze raz uśmiechną się do mnie. Odwzajemniłem ten uśmiech. Pomógł mi wstać, podał kulę. Na chodniku zrobiło się gwarno. Brzdęk co i rusz otwieranych cel pobudzał wyobraźnię, ale jednocześnie bardzo męczył uszy. Wały wyprowadzały nas kolejno na zewnątrz. Szliśmy długim korytarzem, z obielonymi do sufitu ścianami, potem skręcaliśmy na schody (dla mnie będące męczarnią samą w sobie), gdzie u tak nas poganiali. A kto nie nadążał dostawał gumową pałką po plecach. Szybko nauczyłem się znosić tu ból fizyczny. Do wszystkiego można przywyknąć.

Najpierw zaganiali nas do ciasnej sali, gdzie zdawało się ubrania. Należało się publicznie rozebrać do naga, odzież złożyć w kostkę, i czekać w kolejce do okienka by otrzymać swoją porcję szarego mydła i jeden ręcznik. Stało się dość długo. Mnie bardzo to krępowało, a przynajmniej na początku. Po kilku kolejnych dniach przywykłem do tego i nie było mi z tym ani źle, ani głupio. W kolejce panowała zazwyczaj cisza, bo w sali tej było pełno strażników. Kiedy w reszcie otrzymałem swoje „przydziały higieniczne” mogłem przejść do kolejnej sali, bardzo nieprzyjemnie chłodnej. Pod zbiorowe natryski. Zimne kafelki podłogi sprawiały, że każdy kto pojawiał się w łaźni miał na sobie gęsią skórę, z wszystkimi możliwymi konsekwencjami, jakie ma męczyzna, kiedy jest mu zimno.

Staliśmy tak przez chwilę w zadumie, kiedy nagle z dysz poleciała zimna jak lód woda. To była zaskakująca sytuacja, bo owa woda, w dziwny sposób znacząco poprawiła moje samopoczucie. Słodziła płonące czerwienią obolałe mięśnie. Przyniosła miłą ulgę. Nagle ktoś wyrwał mnie z błogostanu radości, jaką właśnie odczuwałem. Wytrącono mi z ręki moje mydło.

- Będziesz się musiał schylić po nie kochasiu - zachichotał mężczyzna o dziwnej fryzurze, bo dreadach, z powplatanymi na stałe dziwnymi ozdobami, chwiejąc się nieco na nogach i dziwnie wytrzeszczając oczy. Almerczyk... dziwnie zacierał rączki z radości.

- Nie sędzę - odparłem i dla bezpieczeństwa stojąc tyłem do ściany, tego poranka umyłem się bez użycia mydła. Były jednak dni, że nie miałem tyle szczęścia.

Migająca na suficie jarzeniówka błyskała tysiącem światła i odcieni. Impulsywne i długie serie promyków przemierzały salę dogłębnie, szukając rozpaczliwie miejsc, gdzie jeszcze nie udało im się upaść...





## Wyprawa do „parku”

**G**ęste chmury zakrywały już i tak dość wątłe słońce. Wszystko zmierzało do jesieni, noce stawały się dłuższe, dni jakby mniej okazałe. Powszechna szarość tu, w Książęcym Więzieniu, nabierała nieco bardziej wymownego wyrazu, podobnie jak paskudna aparycja mordercy zyskuje na stereotypowości, jeśli policzek, lewy lub prawy, zdobi blizna. Południa wyczekiwałem z utęsknieniem. Chciałem wyjść na zewnątrz, zaznać nieco swobody, a przynajmniej poczuć jej namiastkę. Spacerniak był dla mnie bowiem czymś bardzo ważnym. Tam czułem się prawdziwie wolny. Momentami nawet bardziej, niż współcześnie, żyjąc między ludźmi. Dziwne prawda? Czuć się wolnym dopiero wówczas, kiedy jest to jedynie marne złudzenie tego, co do tej pory się miało. Ale w ludzkiej naturze leży poznawać siebie dopiero wówczas, gdy zamykamy pewien rozdział życia. Najbardziej doceniamy to co mieliśmy, kiedy to tracimy w sposób całkowity. Dopiero wówczas, nocami, gdy wspomnienia nie dają nam spać, myślimy o tym jak było nam dobrze i jak dobrze już nigdy nie będzie. W tamtym czasie mało sypiałem. Nocami miałem sporo czasu na rozmowę z samym sobą, na wewnętrzne batalie o nowy lepszy czas dla nas. Być może nie mogłem wyjść z celi, być może nie mogłem swobodnie iść pod prysznic, ale byłem wolny duchem. Wolny od wszystkich trosk dnia

codziennego, od obowiązków zarządcy miasta, od obowiązków regenta prowincji, a nawet (co po dziś dzień nieco mnie przeraża) od obowiązków ojca i męża. Byłem niezależny. Moje myśli stały się moimi sługami, myślałem o tym, o czym chciałem, nie zaś o tym co wymuszały na mnie okoliczności. A kiedy dokładałem do tego złudzenie optycznej przestrzeni, jaką dawał mi spaceriak, w bajerze zwany parkiem, potrafiłem szczerze się uśmiechać.

Adrien da Firenza zrobił unik. Odchylił się do tyłu, zamachną z lewa i wyprowadzając prędką ripostę, zakreślił się niczym baletnica w piruecie, po czym zamasyżuje zawijając głową, uderzył jeszcze całym żelastwem jakie miał wplecione w swoje włosy. Kim Ciąg Sut nie pozostawał długo dłużny. Trzymając w dłoniach skarpetę wypełnioną piachem i kamieniami, niemiłosiernie okładał almerczyka po plecach i ramionach, nie odstępując go ani na krok. Wymierzone mu soczyste sierpowe i precyzyjne podbródkowe nie robiły na nim żadnego wrażenia. „Zapierdol go” krzychał ktoś z tłumu. „Z lewej zajdź chuja” zawtórowała kobieta siedząca na stoliku, żując almerską tabakę. Firenza doskoczył. Kim odpowiedział uchyleniem w lewo i zamachem ręki. Cios runął błyskawicznie. Lewa noga. Prawa noga. Sierpowy i piruet. Garda, zamieniona w blok. Uskok. Skarpetka w górze. Firenza rzucił się na przeciwnika. Ziemia. Piach dookoła. Wszystko jakby za mgłą. Wszystko jakby pierwsze. Szarpali się. Z trudem rozpoznawałem kto komu wymierza ciosy. Dookoła zbierała się coraz większa zgraja gapiów. Nie wiem skąd, ale kiedy w dłoniach almerczyka błysnęła kawałek szkła, już wiedziałem kto wygra tę walkę. Sut jęknął tylko. W krótkim swym pisku cofnął się od sztychówki, upadł na kolana. Skandujący dotąd tłum nagle zamarł. Firenza sapał głośno.

Kiedy nadleciały psy i wały, nie było odwrotu. Młody wandejczyk trafił do więziennej sanitariuszki, Adrien, od tamtej pory zwany

szpadłem, dostał miesiąc karceru. Do końca swojej odsiadki już go nie widziałem. Całe to zajście obserwowałem z odległości pięciu, może siedmiu metrów. Siedziałem z Psorem przy drewnianym stoliku, na sękatej ławce, po której zawsze musiałem wyjmować drzazgi z tyłka. Miejsce w którym siedzieliśmy było dość centralnie umieszczone i wydawało mi się, że to właśnie dlatego Lepki zabierał mnie tam każdego dnia. Obserwowałem z nim, dzień w dzień, jak park tętni życiem. Dodatkowo poznawałem wraz z nim osobowości więźniów.

– Choć Sut to nasz towarzysz, Firenze jak najbardziej rozumiem – podjął Psor, nieco nieśmiało. Jakby to co mówi miało go zawstydzić. – Za bardzo donosił nie tam gdzie trzeba. Co najmniej cztery osoby z bloku D siedzą dzięki jego zeznaniom. Co złośliwsi mówią, że naczelnik wsadził KCSa do pierdła, byśmy mieli uciechę. Nie ma towarzysz lekko. To już trzecia bójka w tym tygodniu po której zabierają go do szpitala. Jak tak dalej pójdzie to może być jego ostatni pobyt w tym hotelu.

– Donosił nie tam gdzie trzeba? Czyli, że do prefektury?

– Taa...

Oczy Psora utkwiły teraz nieco bardziej na prawo od naszego stolika. Mimo woli skierowałem wzrok w tą samą stronę. Eutanazy Karakachanow gestykulował dość intensywnie. Każdy kto choć raz miał samochodową stłuczkę prawdopodobnie dokładnie wie co mam na myśli, mówiąc „intensywna gestykulacja”. Ręce jego zmieniały pozycję szybciej niżbym był w stanie pojąć i rozpoznać w jakich pozach je układał. Twarz wyraźnie mu poczerwieniała. Krzyczał dość głośno. Co ciekawsze, krzyczał on nad uchem arcywałą, jak określało się najstarszego stopniem strażnika na spacerniaku. Wytężyłem słuch, by przysłuchać się rozmowie. Zresztą nie tylko ja. Psor uniósł się aż na nogi, napinając pasiastą

koszulę, w jakich zmuszali nas do chodzenia. Majestatycznie zapatrzył się na całą tę sytuację.

– Żądam przeniesienia! – ryknął Eutanazy, choć tu był zwany po prostu Ivo. – Słyszysz mnie, ty marionetko naczelnika, przeniesienia!

– Zawrzyj mordę, Karakachanow, nie masz prawa niczego żądać. To nie festiwal pieśni i tańca w Sclavini, byś mógł jak mała dziewczynka tupać nóżką!

– Ja jestem porządny złodziej, a z politycznymi siedzieć muszę! Toż to skandal!

– Siedzisz tutaj o ile pamiętam na własną wyraźną prośbę, więc nie narzekaj, skończ to piedolamento i wypierdalaj na spaceriak. Chyba, że wolisz karczer.

Lepki, nie odwracając głowy, półszepcem podjął próbę wyjaśnienia.

– Ivo znowu dostanie karczer. Myślę, że gdyby nie to, że on tam ciągle siedzi, Gau zdążyłby podpisać się i tam – mówiąc to puknął palcem lewej dłoni dwa razy w nierówno zbity blat stołu.

Zrobił to jakby odruchowo. Tak, jakbym nie był pierwszą osobą, jaką przyprowadził tutaj, w to miejsce. Jakbym był jedynie uczniem, któremu pokazuje dokładnie te same strony więziennego podręcznika. Patrzyłem z zaciekawieniem na blat. Wiedziałem już czego powinienem szukać. Przemierzyłem oczami całą szerokość stołu by wreszcie, nawet stosunkowo blisko wskazanego miejsca zobaczyć znany mi napis „Kakulski tu był”.

– Ivo nie siedzi tu w związku z aferą Kupy Stolca? – zaskoczyłem się.

– Nie – sucho rzucił Psor. – Eutanazy siedzi tutaj jako zamawiaka. Może to mu właśnie nie pasuje. Nie mam najmniejszego pojęcia.

Wiem tylko, że Ivo nigdy nie siedzi w sraczu z zaskoczenia. On zawsze siedzi tylko wtedy, kiedy musi. Żeby było zabawniej, zawsze twierdzi, że siedzi z politycznymi, a sam nim nie jest. Moim zdaniem on jest tu po Kakulskim i Radzieckim najbardziej politycznym więźniem jaki może być.

– Polityczny więzień... czyli siedzi za poglądy?

– Siedzi raczej za dość specyficzny styl dzielenia się poglądami. Ivo już...

Towarzysz Lepki zawiesił głos. Mimo woli rzuciłem spojrzenie w stronę Eutanazego. Leżał już właśnie na ziemi. Dwóch wałów krępowało mu ręce, zaś arcywał, jaki do tej pory grzecznie upominał go, stawiał teraz mu nogę na plecach, niczym myśliwy na grzbiecie ofiary. Miało to za zadanie poniżyć skazanego, złamać go, ośmieszyć w oczach współwięźniów. Nie wiem jak to bardziej nazwać. Było to po prostu znęcanie się. Kiedy podnosili Karakachanowa z ziemi, spodnie nieco mu się opuściły, odsłaniając fragment kości ogonowej. Moją uwagę skupił jednak dość zaskakujący tatuaż. „Kakulski tu był”. Nie mogąc się powstrzymać ryknąłem śmiechem.

– Zła reakcja. Każdy zamawiaka ma taki tatuaż. Gau ma nieodpartą potrzebę bycia wszędzie. Cóż na to poradzić – mówiąc to wskazał mi na własny, podobnie umiejscowiony, identyczny rysunek.

Minęła godzina. W tym czasie Psor oprowadził mnie po całym spacerniaku. Przy śmietnikach siedzieli szmuglerzy. Mieli oni przysądzone też prace społeczne, dlatego byli w stanie przewieźć na teren więzienia wszystko co tylko chcieli. Za odpowiednią ilość papierosów, można było mieć tu dosłownie wszystko. Na czele przemytników więziennych stała Paulina Natalia Wileńska. Siedziała ona za napaść na eksięcia Piotra Grzegorza. Któżby się

przecież spodziewał, że zaczai się na niego pod Grodziskiem i machając sztucznym penisem zaatakuje, chcąc zgwałcić permanentnie przez uszy. Paulina jednak miała ten wielki talent, że była w stanie załatwić wszystko. Podobno dla samego Prezerwatywa Tradycji Radzieckiego załatwiła łóżko adekwatne do jego gabarytów. Podobno te samo łóżko szybko wspólnie załamali. No ale cóż poradzić.

Na boisku do koszykówki przesiadywali spamerzy. Ci zaś siedzieli za zaśmiecanie miejsc publicznych masą wiadomości tej samej treści. Spamerów nikt nie lubił. Byli oni po prostu znienawidzeni. Oskarżano ich o trollowanie i wszystko co złe. Wśród ich szeregów pełno było kapusiów i wałków. Nie było dnia by ktoś z tego gatunku więźniów nie został obity, albo zgwałcony. Niezbyt wiele uwagi poświęciłem na poznawanie tej najniższej w naszej hierarchii kasty. Lepki uprzedzał mnie tylko, by raczej z nimi nie gadać.

Dalej były trzy stoły. Przy każdym z nich siedzieli więźniowie z różnych grup etnicznych. teutończycy i gellończycy, sclavińczycy i wandejczycy. Przy czym Ci ostatni nie mieścili się przy jednym stole, więc gromadzili się też przy naszym, neutralnym. Szczerze mówiąc nie chciałem dosiadać się do żadnego z tych „królestw”

Gęste chmury zakrywały już i tak dość wątłe słońce. Wszystko zmierzało do jesieni, noce stawały się dłuższe, dni jakby mniej okazałe. Powszechna szarość tu, w Książęcym Więzieniu, nabierała nieco bardziej wymownego wyrazu, podobnie jak paskudna aparycja mordercy zyskuje na stereotypowości, jeśli policzek, lewy lub prawy, zdobi blizna. Wandejczycy i teutończycy zaczęli się przeraźliwie kłócić. Choć ja ową kłótnię zakwalifikowałem jako bardzo sztuczną...

– Kadencyjny książę? I co do tego? Pełna swoboda Sejmu? Brak weta? To jest napaś!

– Spierdalaj! – zakrzyknął chór wandejski – Democratia subito, kurwo!

Po tych słowach jedna jak i druga strona rzuciła się sobie do gardeł. Pięści mieszały się z nogami, twarze odskakiwały od uderzeń i ciosów. Jatka rozpętała się nie na żarty. Morze kopniaków, szarpanin, wszystko skryte za tumanami kurzu szybko zwróciło uwagę strażników. Nagle na placu zaroilo się od mundurowych z psami. Najpierw z megafonów padła komenda „proszę się rozejść” Nie dało to żadnej reakcji. O dziwo zniknął mi z oczu towarzysz Lepki. Wstałem pośpiesznie, chcąc jak najdalej odejść od całego zajścia. Konflikt szybko rozlał się na pozostałe grupki więźniów. Skarpety z piachem, sztachety z ławek, kastety. Wszystko co mieli więźniowie przygotowane na takie okazje teraz miało swoisty test jakości. Współczułem w tamtym momencie sanitariuszkom ze szpitala. Będą miały tyle do roboty. Już wyobrażałem sobie te kolejki narzekających na złamania, rozcięte łuki brwiowe. Te korowody posiniaczonych, zmęczonych, poturbowanych głupków, skazanych na dodatkowa odsiadkę i nadal miałem przecucie, że to jest nazbyt sztuczne.

Obracając się dookoła rozpaczliwie szukałem towarzysza Lepkiego. Spojrzałem w stronę szmuglerów. Pauliny też tam nie było. Nie było też nigdzie towarzysza Radzieckiego i Ryszarda Paczenki. Nie było nikogo z czołowych więźniów. Kiedy odezwy strażników nie przyniosły rezultatów w stronę skazanych poleciały granaty z gazem łzawiącym, wkroczyli funkcjonariusze z pałkami. Myślałem, że i mi się dostanie, ale nie. Jakiś całkiem nowy oficer, chyba całkiem nie związany z pacyfikacją tamtych zamieszek podszedł do mnie i powiedział, że mam gościa. Zaskoczyłem się. Dość rześkim krokiem poszedłem w ślad za wałem. Ubrany był

inaczej. Miał na sobie niebieską koszulę z emblematem prefektury i granatowe spodnie zaprasowane na kancik. Po jego biurokratycznym chodzie wywnioskowałem, że musi on pochodzić z Baridasu. W pierwszej chwili pomyślałem, że zapewne ktoś z moich przyjaciół, być może sam Siergiusz z Dreamlandu, postanowił podzielić się ze mną wieściami, co dzieje się w Sarmacji, odkąd zostałem aresztowany. Miałem nadzieję, że nie był to nikt z władz Teutonii chcący wygłosić mi mowę umoralniającą. Szedłem tam w wielkiej zadumie. Moje myśli teraz skupiały się jednak na innej sprawie. Na tej tajemniczej szopce, na nierealnym starciu, na zniknięciu Lepkiego i na zdaniu z jego karteczki... rozkminka będzie tam, gdzie wiesz.

Park wyglądał jak jeden wielki regularny teren wojenny. Tumany kurzu unosiły się dookoła, skrywając najbardziej tajemnicze miejsce na całym spacerunku. Starą szopę z narzędziami, gdzie stały konewki do podlewania trawników. Co mniej odważni więźniowie uciekali z walczącego tłumu na siatki ogrodzenia, wspinając się w górę. Teraz dopiero zauważyłem, że spuszczone też psy. Dopiero te wygłodniałe bestie zdołały rozgonić to całe towarzystwo. Idąc w stronę budynku, odruchowo spojrzałem przed siebie. Miałem dość dobry widok na parking przed więzieniem. Zaskoczyłem się. Moim oczom ukazał się Paulus Buddus, z przerażeniem w oczach przyglądając się temu, jak przerażająco skutecznie prefektura radzi sobie z takimi „zabawami”. Nie widział mnie. Ja jednak zastanawiałem się, kto na mnie czeka. Odruchowo pomyślałem o teraz już zawieszonym w celi zdjęciu Czarnolesianki. Szedłem przed siebie skupiony. Samotny. Pełen niepewności i z głową pełną pytań. Gęste chmury zakrywały już i tak dość wątłe słońce. Wszystko zmierzało do jesieni, noce stawały się dłuższe, dni jakby mniej okazałe. Powszechna szarość tu, w Książącym Więzieniu, nabierała nieco bardziej wymownego wyrazu, podobnie

jak paskudna aparycja mordercy zyskuje na stereotypowości, jeśli policzek, lewy lub prawy, zdobi blizna.



## ROZDZIAŁ PIĄTY



### Dzisiaj podadzą nas na tacy

**N**igdy nie zapomnę tej roześmianej twarzy, rozmarzonych oczu wpatrzonych we mnie w każdym momencie naszej rozmowy. Nigdy też nie zapomnę tej wielkiej złości, jaką czułem, kiedy ją obejmował. Mój szaroniebieski strój był bardzo pobrudzony, włosy lekko zawilgocone od potu. Sala widzeń była dość obszerna. Na długość miała około dwudziestu metrów, na szerokość, oczywiście z perspektywy więźnia, być może niecałe trzy. Wzdłuż rozdzielającej pomieszczenie na dwie części ściany luster rozmieszczone były kabiny do rozmów. Centralnie wbudowano pancerne okno, z grubego, zbrojonego szkła, tak by nie można go było ani pobić, ani przestrzelić. Miało zapewnić całkowite bezpieczeństwo tym z zewnątrz. W konsekwencji jednak miało też skutecznie izolować, blokować dotyk bliskich. Od okna odchodził parapet, na nim wyżłobiona była wnęka na słuchawkę. Tylko w ten sposób można było rozmawiać z osobą po drugiej stronie. Ograniczenie bliskości do minimum. Tu wszystko miało Cię psychicznie złamać. By stwarzać pozory swoistej prywatności po bokach wzniesiono dwie ścianki z dykty, oklejone białą papeterią. Do tego wszystkiego stalowe krzesło, bez pokrowców, takie samo jak w pokoju przesłuchań.

Nie ukrywam, że usiadłem na nim bardzo zawstydzony i zaskoczony widokiem po drugiej stronie. Gdy Ivette mnie ujrzała oczy jej zrobiły się większe, twarz jakby zbladła. Dolna warga drżała jej. Nie jestem w stanie ocenić jak wyglądała moja twarz. Posiniaczona, z rozciętym łukiem brwiowym, zresztą zszytym bardzo porządnie jak na więzienne warunki. Domyślałem się, że jestem cały opuchnięty i w większej części moja skóra ma kolor siny, przechodzący w żółty. Zdawałem sobie sprawę z tego, że białka oczu nachodziły mi krwią, że na szyi znać było jeszcze długie rysy od podeszwy buta. Stojący do tej pory kilka kroków dalej Mirosław podszedł nieco bliżej.

– Roladziu – podjęła Ivette, sięgając po słuchawkę jedną ze swych ślicznych dłoni. – Co oni Ci...

– Nic takiego – przerwałem jej – zagoi się szybciej niż myślisz. Nie bój się. To już nawet nie boli.

Bardzo starałem się w tamtym momencie ukryć zwyczajowe pojękiwanie i posykiwanie, jakie wplatałem w każdą swoją rozmowę. Nie miałem zamiaru pokazać, że słowa, które powiedziałem to tylko i wyłącznie tandetne pocieszaczki.

– Tak się bałam. Nie spałam już chyba od tygodnia, odkąd zniknąłeś, odkąd nie wiedziałam co się działo. Czemu nie powiedziałaś nic? Czemu nie dałaś choćby cienia wyjaśnienia?

– Im mniej wiesz, tym lepiej śpisz. Jak myślisz, ryzykowałbym to, że stać może się coś Tobie lub naszym dzieciom? Myślisz, że było mi łatwo opuścić was, odjechać daleko, bez słowa, bez listu...

– Lepiej śpisz? – głos Iv nabierał coraz to bardziej złowieszczonego brzmienia. Znałem to brzmienie. – Nie śpię już od niepamiętnych czasów. Każdą noc spędzam przy oknie, w oczekiwaniu, że dasz znak, że żyjesz i wyjaśnisz, czemu do cholery cię ze mną nie ma –

uniosła się oparta ramieniem o parapet. – Jak mogłeś okazać się tak nieodpowiedzialny?!

Mir wyraźnie coś powiedział jej, ale ja widziałem tylko bujające się czarne loki, trzęsące się ręce, pełne ognia i żalu oczy. Zrezygnowana opadła w końcu na krzesło. Brat mój postąpił kilka dodatkowych kroków w przód i położył jej rękę na ramieniu. Ivette zasępiając się w podłogę, nakryła jego dłoń własną, zwróciła oczy w jego stronę. On zapewne powiedział, że nie zrobiłem tego celowo, że chciałem ją ochronić, że to dla jej dobra, że nie warto się złościć i gniewać. Ona chciała zapewne mu podziękować, powiedzieć, że wie, ale ją to przerasta. Mimo tej świadomości widok ten wydał mi się bardzo... bolesny. Jak bardzo stałem się wówczas egoistyczny? Nie mnie oceniać. W tamtym jednak momencie poczułem, że tak naprawdę nie jestem im już potrzebny. Uczucie to było o tyle dziwne, że oparte tylko na tym jednym, przyjacielskim geście. W końcu przyłożyła słuchawkę z powrotem do ucha.

– Tłumacz się.

– Nie ma czego tłumaczyć – rzuciłem nad podziw sucho i beznamiętnie. – Nie każdemu podobało się to co robiłem. Nie każdemu widziała się solidarność teuończyka z wandejczykiem, nawet jeśli to solidarność w słusznej sprawie. Ego prefektów zostało naruszone, ale cel mój osiągnięty, więc jestem szczęśliwy.

– A ja? – zapytała łamiącym się głosem. – O mnie nie pomyślałeś? Nie przyszło ci do głowy, że umrę z żalu? Byliśmy zawsze blisko, zawsze mówiłeś mi o swoich problemach, a teraz... Ja nie wiem nic o Tobie! Widziałeś siebie w lustrze? Nasza córka wystraszyłaby się ciebie. Co będzie jak straci Cię?

Milczałem dłuższą chwilę.

– Mam twoje zdjęcie. Nie zabrali mi go. Myślę o tobie każdego dnia, każdej nocy. Zastanawiam się, czy zrozumiesz kiedyś dlaczego zrobiłem tak, a nie inaczej. Wiele wyjaśniłem ci w liście...

– Liście?! – z jej oczu odczytałem, że jest szczerze zaskoczona. – Jakim liście?! Nie dostałam żadnego...

– Nadałem list. Obszerny, kilkustronicowy. Napisałem gdzie jestem, dlaczego i co masz robić. Napisałem, że Mir obiecał się tobą zaopiekować. Napisałem ci jak bardzo cię kocham.

– List... – popatrzyła na Mira z wrogością. Wstała bez słowa i wyszła.

Nie zazdrościłem tego dnia Paulusowi. Czekąca go mordercza batalia o przetrwanie. Mir wzruszył ramionami. Chciał podejść do słuchawki, by zamienić kilka słów. Wał jednak był szybszy od niego i oznajmił mi, że na tym zakończy się dzisiejsze moje widzenie. Nigdy nie zapomnę tej roześmianej twarzy, rozmarzonych oczu wpatrzonych we mnie w każdym momencie naszej rozmowy. Nigdy też nie zapomnę tej wielkiej złości, jaką czułem, kiedy ją obejmował. Mój szaroniebieski strój był bardzo pobrudzony, włosy lekko zawilgocone od potu.

\*\*\*

Na stołówce było gwarно. Powietrze robiło się ciężkie od pary buchającej z kotłów i talerzy. Wały stały na podwyższeniu, obwieszeni bronią po samiutki zęby. Szare blaty stołów mieniły się refleksami kilkunastu odcieni światła. Lampy były tu dość duże i świeciły w miarę jasno. W odległym zakamarku sali odnalazłem towarzysza Lepkiego. Przeciskając się między tłumem spoconych facetów, starałem się jak mogłem by nie wywrócić tacki z

jedzeniem. Tytus Aurelisz jak zwykle nie jadł obiadu. Siedzący obok niego Henryk Leszczyński jak zawsze pobierał haracz za zapewnienie bezpieczeństwa w postaci odstąpienia własnej porcji obiadu. Może gdyby Tytus wykazywał większą inwencję i byłby bardziej... urodziwy, może wówczas nie musiałby głodować, by móc bezpiecznie wziąć rano prysznic i czuć się w miarę swobodnie będąc na spacerunku.

Chłopaki z Ciudad de Bravo siedzieli przy własnym stoliku. Jakże mnie to zaskoczyło, kiedy przechodząc obok nich ktoś wbił mi widelec w udo. Jęknąłem i podskoczyłem do góry, rzucając wymownym spojrzeniem „pojechało cię?!”. Róni szczyrzył zębiszcze w rechocie dumy. Południowcy w więzieniu byli jak zawsze uwaleni, ujarani i nabywali skłonności kanibalistyczne. Nie dalej jak wczoraj, też przy okazji obiadu Paulina opowiadała mi, że podobno jeden drugiemu odgryzł ucho, bo uznał, że tak będzie zajebiciej. Zajebistość była i jest ważną sprawą w życiu każdego południowca, ale no dajcie spokój, bez przesady. Podobno pewien almerczyk próbował odgryźć członka południowcowi, którzy zastał go w pozycji klęczącej pod prysznicem (do dzisiaj zastanawiam się jak można właśnie w ten sposób myć kolana). Cóż za niesmaczna kopipasta, choć z drugiej strony niezwykle modna. Wyjąłem widelec z uda i rzuciłem nim beznamiętnie w stronę Róniego. Doprawdy nie sądziłem, że trafię go tak precyzyjnie w oko. Nie sądziłem też, że zareaguje on na to śmiechem.

W końcu po długiej mordędze dotarłem do stolika towarzysza Lepkiego. Miał smutny wyraz twarzy, wyraźnie myślał o czymś co mogłoby okazać się smutną wieścią. Dosiadłem się w milczeniu. Przy stoliku siedziała jeszcze Paulina. W końcu miałem okazję spotkać się z matką twarzą w twarz.

– Wypierdalać! – w końcu odważyłem się zacząć rozmowę.

- Wypierdalać! – odpowiedziała moja matka. Lepki nadal zasępiony bawił się imitacją obiadu.

- Co mu jest? – zapytałem.

- Towarzysz Lepki dowiedział się dzisiaj, że Gau wyszedł z paki. Boimy się, że Radziecki nie wytrzyma bez niego długo i zrobi coś głupiego, dajmy na to, powie ci dzień dobry. Nawet nie wiesz, Roland, jak bardzo głębokie uczucie łączy tych dwóch starych wygów. Czy wiesz, że uprawiali oni miłość czystą i piękną w każdej celi tego budynku?

- Teraz już wiem. Ale nie dalej jak wczoraj powiedziałaś mi, że ty byś się brzydziła tu nawet rączką zrobić swoje, bo nie wiadomo, czy zarazki chorób wenerycznych nie unoszą się w powietrzu.

- Radziecki ma to w dupie, zresztą jak zasadniczą większość tych konwenansów.

- Zgaduję, że najczęściej miał tam Gauda?

Lepki postukał palcem w blat stołu. Dokładnie wiedziałem czego szukać. Nagle przy stoliku zamawiaaków zrobiło się głośno. Powstało wielkie zamieszanie. Nie bardzo wiedziałem o co może chodzić. Lepki wybałuszył oczy. Podniósł się z ławki i patrząc daleko w stronę stolika „hotelarzy” zaczął powoli podchodzić bliżej.

Na stołówce było gwaro. Powietrze robiło się ciężkie od pary buchającej z kotłów i talerzy. Wały stały na podwyższeniu, obwieszoni bronią po samiutkie zęby. Szare blaty stołów mieniły się refleksami kilkunastu odcieni światła. Lamy były tu dość duże i świeciły w miarę jasno. Radziecki właśnie włąził na stolik by zacząć tańczyć. Nie wiadomo dlaczego poczuł takie pragnienie, ale w ślad za nim poszli pozostali zamawiaczy i już po kilku dosłownie sekundach cała ta zgraja bawiła się w najlepsze skupiając całą

uwagę na sobie. Lepki z zaskoczeniem obserwował reakcję Pauliny. Ta zaś uśmiechnęła się tylko i powiedziała.

– Spokojnie towarzyszu, on tak zawsze. Widocznie dzisiaj postanowił zniszczyć więzienny stolik, zresztą nie pierwszy raz.

– Ehhh... – westchnął Psor wracając na swoje miejsce. – Co to siedlische monarchizmu robi z porządnymi wandejczykami. Gdzie podział się stary dobry taniec na golasa, szczególnie, że wlaź na stół.

– Ale coś tam się dzieje! – dodałem.

Radziecki złapał się mocno za gardło. Oczy jego stawały się jakby większe, twarz najpierw rumiana, potem czerwona. Z łomotem upadł na kolana. Stolik aż zatrzeszczał. Już kiedyś widziałem podobną sytuację, kiedy będąc jeszcze dzieckiem byłem wraz z ojcem na audiencji u eksjusia Piotra Grzegorza. Monarcha zajadał się wtedy oliwkami i co by tu dużo nie mówić, najzwyczajniej w świecie się zadławił. Widok był to po części zabawny, po części komiczny. Niemniej najbardziej zaskoczyło mnie, że mało kto ze świty kusia wiedział jak mu pomóc w tej ciężkiej chwili. Avril pośpiesznie podbiegł do majestatu, zaszedł od tyłu (jak teraz myślę, to markiz Levengothon bardzo często zachodzi sarmatów od tyłu) i mocnym uderzeniem pomógł wykrztusić oliwkę.

Na więziennej stołówce ciężko było o kogoś kompetentnego, kto wiedziałby jak pomóc PTRowi. Bo co innego zejść od tyłu i objąć rękoma eksjusia, a co innego dojrzałego wandejczyka w kwiecie okresu kopulacyjnego. Usta mi się rozwarły w niemym krzyku przejęcia, jakby to miał być już koniec. Jakby za chwile miał się skończyć ważny etap w moim życiu. Nim się jednak spostrzegłem Lepki był już w okolicy stolika zamawiaków, popychając zgromadzony wianuszek gapiów. Żaden strażnik nie zareagował. To zaskakujące jak bardzo zwiślał im los człowieka, który mógł

przecież wyzionąć ducha w każdym momencie... Wówczas dopiero zrozumiałem dlaczego nazywano ich wałami. Byli zimni jak gład, nie mieli w sobie za krzty wrażliwości i empatii.

Na stołówce było gwarno. Powietrze robiło się ciężkie od pary buchającej z kotłów i talerzy. Wały stały na podwyższeniu, obwieszeni bronią po samiutkie zęby. Szare blaty stołów mieniły się refleksami kilkunastu odcieni światła. Lampy były tu dość duże i świeciły w miarę jasno. Lepki nabierał rozpędu, biegł coraz szybciej, nagle wyskoczył w górę (nie podejrzewałem go nigdy o taką sprawność fizyczną) i z całej siły kopnął Radzieckiego w brzuch! Noga początkowo zanurzyła mu się w masie cielska, po czym elastycznie odbiła się od niego, wprawiając Psora w piruet zakończony upadkiem w krzeselka rozstawione przy stoliku. Cały zabieg wydał się komiczny zgromadzonym dookoła gapiom, ale przyniósł zamierzony efekt. Kęs który starał się udusić Radzieckiego wyleciał mu z ust i nie wiem, czy celowo, czy też całkiem przypadkiem uderzył Róniego w drugie oko. Biedak, do końca odsiadki miał obydwie oczy zabandażowane.

PTR wziął głęboki oddech. Oparł się na rękach o stół, którego nóżki teraz nie wytrzymały i runęły pod naporem zajebistości wandejczyka. Z czubka nosa kapał mu pot. Oddech miał nierówny, porywczo łapał powietrze, jak gdyby na zaś, jak gdyby na zapas, a może na wyrównanie tamtych długich minut, które owego oddechu były pozbawione? Nim wstał na własne nogi, byłem już przy tych nieszczęsnych krzesłach. Podawałem rękę towarzyszowi Lepkiemu, który nieco poobijany miał trudności by samodzielnie wstać. Uśmiechnął się do mnie. Odwzajemniłem ten uśmiech.

- Co tam się dzieje? - jak gdyby dla formalności rzucił strażnik. Nie lubiłem tego typu formalizmu. Pewnie zrobił to tylko dlatego, że przypomniał sobie, że kamera na stołówce rejestruje też głos, a oni są prawnie zobowiązani zareagować.

- Spierdalaj - wycharczał Radziecki, po czym uśmiechnął się serdecznie. Lepki odwzajemnił ten uśmiech. Tej nocy nie nocował w mojej celi. Tej nocy spałem sam. Na stołówce było gwarno. Powietrze robiło się ciężkie od pary buchającej z kotłów i talerzy. Wały stały na podwyższeniu, obwieszoni bronią po samiutkie zęby. Szare blaty stołów mieniły się refleksami kilkunastu odcieni światła. Lampy były tu dość duże i świeciły w miarę jasno. Nam jednak kazali wracać do cel...





## Krwawe ścieżki

**D**ookoła panowała głucha ciemność. Wszystko wydawało się jednolicie szare. Oczy miło przyjmowały kojący szal zapomnienia, no i ta cholerna, mrugająca każdego dnia jarzeniówka w końcu przestała mrugać. Sen w tym miejscu nie był niczym szczególnym. Co i rusz trzeba było odpędzać nogami coś futrzastego, co małymi pazurkami drapało po skórze nóg. Z czasem nauczyłem się też rozróżniać czy była to mysz, czy szczur tylko po tym jak wielką siłą trzeba było kopnąć tę bestię, by się jej pozbyć.

Normalną rzeczą były tu odgłosy cichych pisków i systematycznych uderzeń o ścianę. To taki miejscowy rytm, wyznaczający melodię całego bloku D. Deratyzacje co prawda przeprowadzano regularnie, ale tylko i wyłącznie w kabinach pracowniczych, korytarzu i sanitariacie. Cele przecież nie są w interesie władz więzienia. Nie sprzątano ich, nie dbano o nie. To dom więźnia, niech on się troszczy o swój dom. Właśnie kopnąłem szóstą tego dnia już mysz (ilość szczurów pozwolę sobie pominąć, bo jak wicie nie bardzo lubię duże, włochate gryzonie) kiedy usłyszałem na korytarzu niepokojący stukot ciężkiego obcasa. W pierwszej chwili pomyślałem, że to najpewniej wały nocnej zmiany idą po jakiegoś obdartusa z celi obok, by nieco go popieścić, na różne sposoby, zależnie od chęci własnych i aparycji skazanego. Myślicie, że to

makabryczne? Zdziwilibyście się jak wielu więźniów było zgwałconych w czasie mojego pobytu, przez różne wały.

Korytarz skryty był pod płaszczem całkowitej czerni, nie paliła się nawet latarka. Wszystko zorganizowane tak, by kamery (zazwyczaj i tak wyłączone) nie mogły niczego uchwycić. Teraz, z perspektywy lat jestem w stanie powiedzieć wam, że działo się to w konwencji tajemniczego thrillera, ale kiedy byłem tam, w zimnej, zawilgotniałej celi, to, że kogoś zabierali po omacku nie wzbudzało takiego poruszenia jak w was, gdy podobne sceny widzieliście na filmach. Przesłuchania nocne były nielegalne, taśmy nie mogły niczego uchwycić. Nie pisało się protokołów, a jeśli już to z dzienną datą.

Kroki jednak narastały. Coraz bardziej i bardziej wyraźne pojedyncze odgłosy marszu sprawiały złudzenie, że celem wędrówki tego trepa będzie moja cela. Każdy więzień pociesza się, o zgrozo jak narcystycznie, że odgłos chodu najpierw będzie stawał się coraz mocniejszy, a potem rozmyje się we mgle oparów smrodu. Słowem, że wał celę ominie i już nie wróci do niej tej nocy.

Kroki ucichły. Byłem bardzo zdezorientowany, nie wiedziałem co mam robić dalej. Modliłem się wtedy do Zera, do Bravo, do Wandy i zapewne do wszystkich Diuków, o to, by nie usłyszeć głosu przekręcanego zamka, by nie mieć w uszach dźwięku rozsuwanych zapadek i ocierającego o metal szczęku klucza. Nie usłyszałem tego... jakże płowa i krótka była moja radość, gdy drzwi i tak się otworzyły, z charakterystycznym dla mojej celi pojękiwaniem. (Ktoś by mógł je do cholery naoliwić w końcu!)

– Heach? – zapytał dziwnie znajomy głos

– Tak – odparłem krótko, tak jak mnie uczył Lepki.

Mężczyzna zrobił kilka kroków w przód. Teraz światło księżycy padało na jego bladą twarz, nieco rozświetlając całość, w bardzo majestatyczny i groźny sposób.

– To ty! – szybko odparłem. – Masz zamiar się mścić?

– Gdyby to ode mnie zależało, leżałbyś już spałowany, tetuński psie, za wiele krzywd mi wyrządziłeś, bym mógł zaprzepaścić taką okazję na zemstę – jego ręka uniosła się nieco, druga zakamufLOWANA w cieniu uderzyła mnie prosto w brzuch. Jęknąłem kuląc się. – Niestety, moi mocodawcy opłacili mnie w nieco innym charakterze. Ograniczę się tylko do tego jednego uderzenia – podniesiona do góry ręka opadła bardzo mocno na moją twarz. – Na tyle mi pozwolono.

– Jacy mocodawcy? Kto do cholery?!

– Masz tu przyjaciół, Heach, masz ich dość sporo. Moim zdaniem całą tą waszą bandę trzeba by powiesić za jaja na murach Almery, a nie karmić pierogami. No ale płacicie przynajmniej solidne łapówki – w tym miejscu zaniósł się śmiechem. – Hahahahaha, łapóweczki wasze, bez nich nie byłbym w stanie wyżyć do pierwszego. Wiesz jak drogi jest rum?

– Dla kogo pracujesz?

– Zawrzyj japę. Mam zlecenie na ciebie, tylko tyle powinienesz wiedzieć. Mam cię stąd zabrać, nie miałem być jednak miły.

Po tych słowach poderwał mnie w górę. Wyszedłem z celi, trep za mną. Co ty kręcisz Vincis, pomyślałem, dla kogo pracujesz? Tysiące myśli w głowie. Dookoła panowała głucha ciemność. Wszystko wydawało się jednolicie szare. Oczy miło przyjmowały kojący szal zapomnienia, no i ta cholerna, mrugająca każdego dnia jarzeniówka w końcu przestała mrugać. Sen w tym miejscu nie był

niczym szczególnym. Co i rusz trzeba było odpędzać nogami coś futrzastego, co małymi pazurkami drapało po skórze nóg.

– Zabiorę cię teraz tajnym korytarzem służby więziennej – wykrzywił mi ręce za plecami i skuł je kajdankami. – Sam rozumiesz, że nie możesz iść luzem. Musisz być nieco poobijany i skrępowany. Jesteś przecież gównem, Heach. Takim zielonym, krowim łajnem.

Mówiąc to przyglądał mi się dość dokładnie. Trzymając palcami za brodę, przekręcał moją twarz to w lewo, to w prawo. Uśmiechną się szyderym wykrzywieniem mordy.

– Ujdzie. Obity jesteś w miarę, można by co prawda co nieco poprawić – dostałem kolejny cios, tym razem z pięści w prawy policzek. – no, teraz jest idealnie.

Szedłem początkowo znanym mi bardzo dobrze korytarzem. Chodziłem nim każdego dnia na spacerki, gdzie Lepki wykładał mi socjologię więzienną. Swoją drogą to było dziwne, że tak od ręki przenieśli go do celi PTRa. Zaczynałem nabierać podejrzeń, gdy nagle mocne szarpnięcie ręki Vincisa odebrało mi zdolność myślenia. Skręciliśmy w mały korytarzyk po lewej stronie. Wąska ścieżka zdawała się ciągnąć w nieskończoność, jak gdyby była budowana w duchu zeryzmu absolutnego. Ledwie co mieściłem się między obskurnymi ścianami. Tutaj już jednak paliły się pojedyncze lampy podwieszane na suficie.

Levengothon leżał rozwalony na fotelu. Po policzku spływały mu dwie stróżki krwi. Oddychał, ale był nieprzytomny. Dopiero potem rozejrzałem się po pomieszczeniu. To była sala monitoringu więziennego. Biurko, jakie miał przed sobą Naczelnik, usłane było stosami wniosków. Najbardziej w oczy rzuciły mi się dwie

pieczętki: dan i spierdalaj. Zastanawiałem się, jak zapatruje się na nie prefekt generalny. Wywołało to u mnie uśmiech.

– Markiz nie chciał współpracować, więc cóż... – urwał Vincis. – Mam nadzieję, że znajdą go do rana, nim krew mu się skończy w żyłach.

– Coś ty mu zrobił? – zapytałem jakby z automatu. Coś jak wklejki w dziale powitań.

– Jebnąłem mu pałką przez plecy i zrobiłem małe nacięcia za uszami.

Miałem tylko jedną myśl. Vincis nie był tak głupi na jakiego wyglądał.

Dookoła panowała głucha ciemność, przerywana pojedynczymi światłami neonów. Wszystko wydawało się jednolicie szare. Oczy miło przyjmowały kojący szal zapomnienia, no i ta cholerna, mrugająca każdego dnia jarzeniówka w końcu przestała mrugać. Nadal jednak co i rusz trzeba było odpędzać nogami coś futrzastego, co małymi pazurkami drapało po skórze nóg. Opuściliśmy salę kontroli więźniów dość szybko. Większość monitorów i tak tam śnieżyła, a co czwarty był po prostu wyłączony. Szliśmy już o wiele szerszym korytarzem. W oddali było słychać stękania, pojękiwania i krzyki. Pomyślałem sobie, że robi sobie ze mnie jaja, że prowadzi mnie na zwykłe przesłuchanie, albo, że jakiś mój wróg, a tych mam na pęczki, zechciał się „zabawić”.

Weszliśmy do ogromnej sali. Po prawej i po lewej stały trzy zestawy łóżek szpitalnych, a przy nich instrumentalia chirurgiczne. Wszystko oświetlone dokładnie z góry wielkimi lampami, o okrągłym kształcie. W dalekim koncie stała masywna klatka. Wyteżyłem wzrok. Nogi ugięły się pode mną. W nozdrzach poczułem obrzydliwy smród. Na zimnym betonie tej niby-celi leżała Lanigiria von Guardenz, całkiem naga, posiniaczona i pełna

dziwnych, drobnych nacięć na skórze. Nieopodal niej stało wiadro, do „załatwiania potrzeb”. Ten sam kotooki, który mnie przesłuchiwał stał nieopodal przy jednym ze stołów chirurgicznych, zdejmując purpurowe już poszewki z pościeli. Nieznana mi do dzisiaj postać zabrała zaś wszystkie przyrządy. Widziałem tylko, jak i tym razem sam podpisuje protokół z własnego przesłuchania. Ponownie poczułem gniew i wzgardę.

- Kiedy przyniosą mi Markusa? - zapytał siedzący pod oknem prefekt generalny, czytając coś o tajemniczym tytule „Chuje, kurwy, dupy i inne wyrazy zbrodni sarmackiej na języku polskim - jak walczyć, Tom 1.” Do dziś się zastanawiam, jak to jest, że przeczytałem cały ten tytuł w półmroku?

- Za dziesięć minut, wasza księżęca wysokość.

Na szczęście Vincis poprowadził mnie dalej. Ponownie weszliśmy w korytarz dość wąski i niewygodny do podróżowania. Almerski gwardzista mocno ścisnął moje ramie. Pochylał mnie też, aby uwiarygodnić swoją rolę strażnika. Ja wiedziałem jednak, że było to tylko zmuszanie mnie, do kroczenia w bardzo męczącej, niewygodnej pozycji.

- Co tak wolno, plażo? Słupów ci zabrakło?! - usłyszałem znajomy głos. - Został nam niecały kwadrans. Wiesz co będzie jak nasz spisek wyjdzie na jaw?

- Masz swego syneczka, już go prowadzę.

Drzwi rozwarły się, ujrzałem spacerniak.

Dookoła panowała głucha ciemność. Wszystko wydawało się jednolicie szare. Z nieba lała się woda strumieniami. Gęste chmury co i rusz rozświeślały serie błyskawic, rozchodzących się wśród kropel wody tysiącami gęstych pajęczyn. Grzmoty skutecznie wszystko zagłuszały. Twarz Pauliny była jednak radosna.

– Rozkuj go! – wrzasnęła.

– Jeszcze nie mogę! – odparł.

Ruszyliśmy dalej. Ze zdziwieniem patrzyłem na oczy mojej matki, teraz bardzo duże i serdecznie roześmiane. Patrzyłem też na ogromne piersi, dokładnie odrysowane na przylegającej do ciała, mokrej koszulce więziennej. Serdeczny uśmiech nie zniknął nic a nic z jej twarzy. Włosy lśniły w tysiącach niebiańskich błysków. Z czubka nosa i brody kapąła woda. Zimny deszcz powodował ciarki na plecach. Chyba nigdy wcześniej i nigdy później moja matka nie wydała mi się zajebistrza niż w tamtym, pamiętnym momencie.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Lepki nie mógł ci tego powiedzieć, bo wiesz ryzyko i tak dalej. Od pewnego czasu napierdalaliśmy podkop ze starej szopy na zewnątrz. Radziecki był w stanie wynosić piach całymi tonami, wiesz, że ma gdzie ukryć różne rzeczy. Lepki jest mózgiem całego tego spierdalania. Ma plan i go realizuje.

– Czyli uciekają tylko wtajemniczeni? A ja czemu?

– Nie zostawię syna. Jestem może fochliwa, ale nie wredna, do cholery, zrobiłbyś to samo. Poza tym mam dość tego konfliktu gellońsko-teutońsko-wandejskiego. No i jesteś czwarty na mojej zamkniętej liście zajebistości.

Szliśmy dość szybko w stronę małego drewnianego domku ulokowanego na uboczu parku. Przed drzwiami, ze szpadlem w dłoniach czekał Adrien da Firenza (nie wiem do dzisiaj jak udało mu się uciec z karceru. Być może też jakiś przekupiony strażnik go wyprowadził.). Jego włosy nieco się kręciły od wilgoci. Szopa była naprawdę stara. Deski ledwie się trzymały, dachówki były popękane i co i rusz coś się od niej odrywało, noszone dalej na

wietrze. Almerski „szpadel” załomotał w drzwi. Z wnętrza wyszli pozostali. Firenza gdzieś zniknął.

Moim oczom ukazali się Katuszyn Rewoluty Lepki, Prezerwatyw Tradycja Radziecki, Ryszard Paczenko i Kim Ciąg Sut. Łącznie zatem uciekać nas miało siedem osób, czyli jakieś trzy czwarte całego bloku D. Lodowate krople deszczu gęstymi potokami spływały mi po policzkach, czole, skapując na skraju szczęki. Włosy mocno oklapłe, dokładnie lepiły się do skóry.

– Jesteś w końcu. Vincis, rozkujcie towarzysza Heacha – głos Katuszyna był nad podziw wzburzony, jakbym nie miał być już skuty, na tym etapie planu.

Vincis błyskawicznym ruchem reki wziął mnie pod brodę, za szyję, odciągnął głowę do tyłu, drugą ręką trzymał ostry, wojskowy nóż przyłożony do mojego gardła. Kim szybkim krokiem zaczął się wycofywać w stronę szopy. Po kilku sekundach, już go nie było. Radziecki chciał coś powiedzieć, ale ostry grzmot zagłuszył go. Najmocniejsza tej nocy błyskawica przecięła niebo. Gwardzista mocnym kopnięciem obalił moją matkę na ziemię. Paulina upadła w błotnistą kałużę.

– Co wy odpierdalacie?! – zakrzyknął wyraźnie już wściekły Psor.

– Mam okazję odpłacić temu szarlatanowi za wszystkie krzywdy. Mam okazję rozwalić mu gardziółko i wypruć flaki na oczach jego matki, dziadka i przyjaciela z celi. Cóż można więcej chcieć od życia?

– Jesteś popaprany – powiedziałem. Zaśmiał się, donośnie i dosadnie.

– Spierdalaj kurwo – krzyczał Radziecki, chcąc zwyczajowo, po swojemu, poprosić o odejście. Czynił to nad wyraz kulturalnie biorąc pod uwagę, że chodziło o jego wnuka.

- Towarzyszu Władysławaie, wiecie, że nawet jeśli wam się uda zrobić to co planujecie, nie damy wam się stąd odejść w jednym kawałku? Macie moje słowo, jeśli teraz puścicie Rolanda, my pozwolimy wam odejść.

Ostrze noża przejechało po moim policzku znacząc go długą rysą. Vincis spojrział złowieszczo na zataczającego koło Paczenkę.

- Jeszcze jeden krok, a wpierdolę mu ten nóż przez skroń, by potwierdzić, że skurwiel nie ma niczego w tej swojej tykwie na patyku. Zabrał mi miłość życia, zabrał mi szacunek, majątek, a wy go bronicie! Was też zajebie, zawołam strażników. Będą do was strzelać jak do kaczek!

Zasyczałem. Lepki zamarł w miejscu, Radziecki nadal klął jak szewc. Paulina leżała zrezygnowana w kałuży. Czułem, że powinienem teraz mówić o niej Paulina|dol, ale nie wypada mi tak mówić o kobiecie, która uratowała moje życie. Rozdzierająca się skóra policzka bolała o wiele bardziej niż wszystkie wcześniejsze katusze jakim mnie poddawali. W tamtej chwili już nie zastanawiałem się czy przeciągnie mi swoją brzytwą po gardle, ale kiedy. Nagle Vincis jęknął. Za plecami usłyszałem ostry łomot. Zebrani wybałuszyli oczy.

- To napaś... - zaryczał przeraźliwie mój niedoszły morderca.

Adrien zakradł się od tyłu. Czyżby Lepki i to przewidział? Czy dlatego nie starał się ostrzej negocjować z wałem? Pewnie tak. A może Firenza sam się domyślił o co może chodzić. Sam doskonale znał przecież Władysława. Cios szpadla okazał się celny. Vincis stracił przytomność momentalnie, zachwiał się. Poczulem ukłucie, po czym moim oczom ukazała się sikająca krew. Chciałem złapać się rękoma szyi, ale nie mogłem. Cały czas miałem je skrępowane kajdankami. Deszcz lał się niemiłosiernie. Zimne krople, mieszały się z łzami i czerwienią moich tętnic. Postąpiłem kilka kroków w

przód i przewróciłem się. Almerski gwardzista opadł na mnie. Poczulem chrupnięcie w kościach nóg.

– Na Wandę – zaryczała Paulina, rzucająca się na kolanach w moją stronę. Adrien odrzucił leżącego na mnie Vincisa, przewrócił go na plecy i zmierzył mu puls. – Nie dam ci umrzeć w tym gnojowisku!

Odwróciła mnie na plecy. Krew sikała jak fontanna w ciepły letni dzień w centrum Czarnolasu. Ja oczyma duszy widziałem już złotogrodzkie pola. Mama zdarła z siebie ogromny kawał koszuli, obnażając niemalże lewą pierś. Złożyła tak uzyskaną chustę w dość gruby kwadrat i przycisnęła go do mej szyi najmocniej jak mogła. Zobaczyłem jeszcze Lepkiego, padającego przy mnie na kolana. Krzyczał coś. Firenza i Paczenko nagle zniknęli w czeluściach szopy. Radziecki ciągnął Vincisa w pobliskie krzaki. Spojrzałem w niebo. Ukwiecone było tysiącem łun błyskawic rozświetlających ciemnoszare obłoki. Myślami wędrowałem w stronę Czarnolasu, w stronę chaty mojej żony. Myślami obejmowałem Ivette.

– Ko... cham cię... – wycharczałem. Oczy same mi się zamknęły. Nie pamiętam kiedy zasnąłem.

Ostatnia rzecz jaką pamiętam, to łzy mojej matki. Dookoła panowała głucha ciemność. Wszystko wydawało się jednolicie szare. Z nieba lała się woda strumieniami. Gęste chmury co i rusz rozświetlały serie błyskawic, rozchodzących się wśród kropel wody tysiącami gęstych pajęczyn. Grzmoty skutecznie wszystko zagłuszały. Ja już nie czułem nic.

*Złoty Gród, 27 września 2013*



Patronat medialny:

 Gazeta Teutońska 

100 Lt